

M A R E K T R O J A N O W S K I

1977

CZEŚĆ PIERWSZA

internet 2008

1.

Czasami jakoś tak się dzieje, że umykają nam ważne rzeczy, że ciekawe zdarzenie zostają tak po prostu, bez żadnej intencji, przeoczone. To samo dotyczy ludzi. Spotyka się ich. Później są rozstania i nadzieja na kolejne spotkanie. Nadzieje nierzadko stają się dożywotnimi, bo tych samych ludzi zastępują inni i inni i tak do końca.

Rodzice wybudowali się przy starym, poniemieckim basenie o wymiarach olimpijskich. Jedną z części płotu okalającego pływalnię były drewniane kabiny, przebieralnie, w których zwłaszcza dziewczyny, z natury bardziej wstydliwe od mężczyzn, przebierały się w stroje kąpielowe. Jako dzieciak często się podkradałem z różnych stron, by przez szpary w deskach podpatrzeć to i owo. To pierwszy raz wówczas zobaczyłem nagą kobietę, że tak powiem: na żywo. Żadne tam gazetki, zresztą takich z gołymi dziewczynami wówczas nie było. To nie były te czasy, w których krocze Paris Hilton zdobiło nagłówki prasy brukowej. To była zupełnie inna epoka.

Swoją fascynację kobiecą nagością przypłaciłem rozciętą wargą i bekiem. Któregoś razu, gdy zakradłem się podglądać przez szparę jak się dziewczyna przebiera, zobaczyłem, to co zwykle widziałem w takich sytuacjach. Kawałek pośladka, pół piersi i kilka kępek zarostu łonowego. A należy wiedzieć, że nawet w intymnym zacisku kabiny kobiety bardzo szybko się przebierały i oko dziecka nie zdążyło rejestrować wszystkich nowości anatomicznych. Nie wiem jakim cudem, chociaż dziś przypuszczam, że owa kobieta jako przedmiot moich obserwacji usłyszała mój chichot, który tłumiliem każdorazowo w trakcie podglądania, że się zorientowała. Nieświadoma ofiara – jak wówczas sądziłem – mojej ciekawości nagle się wyprostowała. Stała całkiem naga, jak ją pan bóg stworzył i to dokładnie przed szczeliną, do której miałem przyklejone oko. Nie zakrywała się, nie krzyczała: „Ratunku! Podglądacz!”, tylko tak zwyczajnie sobie stała. Wówczas to pierwszy raz doświadczyłem na własne oczy, że dziewczyny nie mają siusiaków. Jako dzieciak zadawałem sobie wówczas pytanie: „Czym one sikają?”. Podglądana przeze mnie kobieta odwróciła się, tak jakby chciała, żebym zobaczył ją z tyłu. Tu nie było jednak nic ciekawego do oglądania. Wydawało mi się wówczas, że wygląda tak samo jak ja. Nie zwróciłem wówczas najmniejszej nawet uwagi na biodra i te krągłości, które dzisiaj doceniam. Stojąc jeszcze chwilę odwrócona tyłem, ponownie pokazała mi się z przodu i pokiwała palcem, dając znak, żebym się zbliżył. Przyłgnąłem całą twarzą do szpary. Z całych sił, żeby jeszcze raz wszystko dokładnie pooglądać. I nagle, z nienacka dziewczyna z całej siły kopnęła w deskę, do której przywarłem twarzą. Uderzyła na tyle mocno, by mnie odrzuciło obok na ziemię, co zresztą nie było trudne, gdy po drugiej stronie drewnianej ściany stoi jedenastoletni dzieciak. Poczulem ból i chwilowe ogłuszenie. Dopiero wówczas zorientowałem się, że ona się zorientowała i zacząłem biec do domu. Ryczałem strasznie po drodze, w zasadzie to wylem. Nie tyle z bólu, bo go nie czułem. Także nie dlatego, że widziałem na dłoni krew, którą otarłem z wargi. Płakałem ze wstydu. Zostałem nakryty. Od tamtego czasu nigdy więcej nie szedłem podglądać, nawet gdy to robili koledzy z podwórka i mnie namawiali. Nigdy też nie dowiedziałem się kim była ta dziewczyna, chociaż długo miałem obsesję, że ona wie, kim ja jestem. Dlatego przez jakiś czas w ogóle nie chodziłem na basen, bojąc się, że mnie spotka i będzie się ze mnie śmiała.

Oprócz kabin, niewątpliwą atrakcją basenu była skocznia, którą wszyscy nazywaliśmy trampoliną. Punktem honoru było skoczenie z niej do wody. Każdy łepok się pchał na drabinkę, by się po niej wspiąć na drugie piętro i skoczyć. A stawka była niebagatelna –

uznanie wszystkich dziewczyn, które opalając się na wydeptanej, basenowej murawie, podziwiała skaczących. Ratownicy, a było ich zawsze dwóch, mimo że cały czas pili w kabinie dla ratowników, to jednak zawsze trzeźwo oceniali wiek i zdolności wszystkich chętnych do skoku. Dlatego trudno było się na nią wspiąć. Każdego nieleta traktowali tak samo. A mianowicie gromkim i stanowczym:

- Gdzie się chuju pchasz! Chcesz się utopić?! Idź mi stąd, ale już smarku!

To przeważnie wystarczało. Nie „chuj”, ale „smark” był tak upokarzający, że każdemu młokosowi na cały dzień przechodziła ochota na skakanie z trampoliny. Zwłaszcza, że każdorazowo przyglądające się skoczni dziewczyny, gdy usłyszały krzyki ratowników, śmiały się głośno. Każdy mały chłopak chciał być nagle dorosły, a tu nagle ktoś do niego wrzeszczał „smarku”.

Miałem jedenaście lat, kiedy udało mi się po raz pierwszy niepostrzeżenie wejść na trampolinę. Oczywiście zignorowałem tak zwane pierwsze piętro. Przecież ono było tylko dla cieniasów. Od razu wszedłem na drugie. Podszedłem do krawędzi i od razu się cofnąłem. Odległość od wody wydawała mi się wręcz kosmiczna. Usiadłem na krawędzi, bo myślałem, że to zmniejszy ten dystans dzielący mnie od lustra wody. Chciałem się tak zwyczajnie zsunąć i skoczyć na nóżki. Mimo, że skok na nóżki też był uważany za obciach, to jednak był to skok i mniej blamował niż zejście, którego wówczas nie brałem pod uwagę. Wiedziałem, że muszę skoczyć, tylko nie wiedziałem jak. Kiedy tak modliłem się, siedząc na krawędzi, usłyszałem za plecami:

- Dawaj mały, skaczesz czy nie?

Odwrociłem się i zobaczyłem Surka. Tego samego Surka, który budził postrach wszystkich w moim wieku i starszych, o wiele starszych. Surek był kryminalistą. Miał tatuaże, miał odciętego kciuka, nie miał jedyńki, co mu wcale nie przeszkadzała się uśmiechać. Bycie kryminalistą w czasach mojego dzieciństwa to było coś. Dzisiaj co trzeci jest kryminalistą, ale wówczas aura więzienia, która otaczała takich ludzi, miała w sobie coś magicznego. Surka uważano za półboga-półdemona. Wszyscy z daleka podziwialiśmy jego tatuaże, gwiazdki wytatuowane na barkach. Opowiadano o nim legendy. Na przykład:

Któregoś razu Surek siedzi sobie w knajpie. Pije piwo. Jedno za drugim aż się upija. Podchodzi do niego kilku facetów i chce go zbić. Surek wstaje i załatwia wszystkich jak Bruce Lee.

Nie ma bardziej sztampowych opowieści niż ta, ale każdy z nas w to wierzył. Jedyne o co się spieraliśmy, to liczba napastników, którą Surek rozłożył na łopatki. Wszyscy mu trochę zazdrościliśmy, był w jakimś sensie naszym idolem, typem awanturnika. Zastępował nam brutalnych bohaterów filmów akcji. Uosabiał bezwzględność, brutalność więzienną no i miał tatuaże. Sam jako dziecko wielokrotnie rysowałem sobie długopisem kotwicę na ramieniu. Starszy brat robił to samo i mówił, że jak się wielokrotnie ją poprawia długopisem, to w pewnym momencie będzie ona nie do zmycia. Była też inna teoria powszechna wśród moich kolegów, jeżeli chodzi o robienie tatuaży. A mianowicie, należało sobie namalować rysunek długopisem a następnie wcierać go zapałkami w skórę, aż do momentu całkowitego starcia się siarkowej główki zapałki. Trzeba tak zetrzeć kilka pudełek, zanim tatuaż się utrwali. Człowiek się nieźle nacierpiał, zanim zrozumiał, że tym sposobem nie można zrobić tatuażu.

Ale wracając do przygody z trampoliną.

Łatwo sobie wyobrazić co wówczas czułem, gdy siedziałem nad przepaścią, a za moimi plecami stał właśnie on Surek-kryminalista. Spanikowałem nie na żarty. Pewnie byłbym skoczył. Miałem wystarczającą motywację, mianowicie demona za plecami. Jednak Surek mi w tym przeszkodził. Powiedział:

- Jak masz cykora, to nie skacz. Odsuń się.

Nic nie odpowiedziałem. Bałem się cokolwiek powiedzieć, żeby czasami nie oberwać. Nie zdążyłem się też odsunąć. Surek skoczył przeze mnie. Odbił się za mną, przeleciał nade mną i runął na główkę do wody. Po tym zdarzeniu opowiadałem wszystkim kolejną opowieść o Surku, zapisując własnoręcznie osobny rozdział w jego mitologii, który mógłbym zatytułować: „Surek latający”.

Basen nie wytrzymał konfrontacji z epoką wolności, która rozpoczęła się po 89’ roku. Niszczył i niszczał. O ile władza ludowa zainteresowana była w kształceniu zdrowego ciała klasy robotniczej i dbała o ten relikw, który pierwotnie stał w narodowosocjalistycznej gotowości do służby w hodowli kolejnych generacji aryjczyków, tak demokratyczna władza zdecydowała o nierentowności tego obiektu. Reguła ekonomiczna przesadziła o jego końcu.

Co się stało z Surkiem?

Surek po 89’ także się zmienił. Uległ zredefiniowaniu. Z buntownika i herosa stał się nagle zulem. Bohater upadł, bo był to czas upadku starych bohaterów, których mieli zastąpić nowi. Ostatni raz spotkałem go kilka lat temu. Siedział na schodach w centrum rynku wraz z innym menelem pił wino. Ten inny menel, to mój kolega z dzieciństwa – Jacek, który był jak nikt wygadany. Wcisnął takie bajery i tak skutecznie, że wszyscy, mimo że wiedzieli, że to są kity, to i tak z zaciekawieniem tego słuchali. Nikt by nie przypuszczał, że Jacek kiedyś usiądzie obok Surka. A jednak, on też nie wytrzymał. Siedzieli sobie razem. Surek mnie zawołał. Podeszedłem. Poprosił mnie o jakieś drobne. W tym czasie pijany już Jacek, zaczął opowiadać kolejny bajer o tym, że się wybuduje, że zbuduje sobie ładny dom, tylko musi się z tego wszystkiego otrząsnąć. Nic nie powiedziałem. Wiedziałem, że opowiada bajkę dla samego siebie, że jest mu potrzebna. Surek, także pijany wówczas, odezwał się do niego:

- Ty się kurwa najpierw tu, w środku zbuduj, kurwa! – i pokazał palcem na głowę.

Kilka tygodni później usłyszałem, że Surek zmarł. Ponownie opowiadano legendy, jak to szalony Surek biegał i krzyczał, że walczy z diabłem, że widział diabła. Tylko, że tym razem diabeł go zabrał. Podobno ostatnie słowa Surka brzmiały: „Uciekam”.

2

Moje pierwsze wspomnienie, które pamiętam, to jak na czerwonym, małym rowerku zrobionym przez ojca, jechałem do kolegi. To była moja pierwsza wyprawa jednośladem po asfalcie. Nie jakieś tam piaszczyste drogi, w których grzęzły koła, ale prawdziwy, czarny asfalt, wylany przez Niemców przed 1945 r. To tyle, jeżeli chodzi o pierwsze wspomnienie. Jeżeli zaś chodzi o ten czerwony rowerek. Był to pierwszy jednoślad w moim życiu. Miał tę dziwną przypadłość, że cały czas mu się pedały obracały. Najbardziej uciążliwe było to, gdy zjeżdżałem z górki. Wówczas musiałem podnosić nogi, albo rozkładać je na boki, bo pedały kręciły się z taką prędkością, że nie nadążałem pedałowac. Prosiłem ojca, żeby coś zrobił z tymi pedałami. Ten jednak nic nie zrobił, bo co mógł zrobić? Kiedy jako dziecko upominałem się o duży, normalny rower, powtarzano mi:

- Dostaniesz na komunię. Zobaczysz, dostaniesz składaka.

Oczywiście zegarek też miałem dostać na komunię, dlatego już od początku pierwszej klasy szkoły podstawowej czekałem na komunię. Co tam misterium transsubstancjacji, to nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Liczył się rower i zegarek. Drugi jednoślad, tym razem prawdziwy, a nie tam jakaś samoróbka, dostałem w maju, właśnie na komunię od chrzestnego. Był to złożony w dużym kartonie składak WIGRY 3. Dostałem go tydzień po całej imprezie, której hitem był piętrowy tort, który się zawalił, zanim podano go na stół. Wujek spóźnił się z prezentem, ponieważ czekał na to, aż go przywiozą do geesu. Zamówił go z wyprzedzeniem, jednak zaprogramowana kolejnym planem gospodarka socjalistyczna nie uwzględniła chyba mojego prezentu, stąd owo opóźnienie.

Kiedy wujek przytasczył rower w kartonie bardzo się ucieszyłem. Pamiętam jak go razem z ojcem skręcałem, to znaczy przeszkadzałem mu, zadając różne pytania o kolejne części tej maszyny. Tato cierpliwie opowiadał. Kiedy skończył powiedział coś tam, że bym uważał, że bym się nie zabił jak będę jeździł. I oczywiście wyruszyłem na podbój okolicy. Pierwszą podróż odbyłem do tego samego przyjaciela, do którego kilka lat wcześniej pojechałem na czerwonym rowerku. Chciałem się pochwalić. Przyjechałem do niego. Zaczęliśmy wspólne oględziny. W którymś momencie on powiedział:

- Masz fajnego składaka.

Na co ja:

- No, sam składałem.

Nie wiedziałem wówczas, że określenie „składak” nie oznaczało: „rower do samodzielnego złożenia”, ale rower, który się składa na pół. Zresztą nigdy nie odkryłem do czego służy ten mechanizm na środku ramy.

Oprócz roweru na komunię dostałem także zegarek. Ten podarowała mi chrzestna. Do dziś go pamiętam. Był to SATURN, miał siedem melodyjek i cztery guziczki po dwa z każdej strony koperty. Miał też światełko. Jak się nacisnęło przyciski na skos, to brzęczały kolejne melodyjki, jak się nacisnęło dwa równoległe, to zapalało się światełko. Można było w ciemnościach zobaczyć, która jest godzina. Wówczas z zegarkami była dziwna sprawa. Im więcej miał melodyjek, tym lepszy był. Pamiętam jak się w klasie chwaliłiśmy, z jakim przekonaniem zachwalaliśmy własne zegarki. W tym podstawówkowym rankingu byłem daleko w tyle. Inni mieli zegarki z czternastoma melodyjkami. Jednak prowadził taki jeden w klasie, którego elektronik miał nie tylko melodyjki ale kalkulator. On był najlepszy, każdy chciał zobaczyć to liczące чудо, tym bardziej, że w powietrzu unosiła się złowroga aura tabliczki mnożenia, z której ciągle nas odpytywano na matematyce.

W każdym razie w latach osiemdziesiątych szalem były elektroniki i to jak najbardziej naszpikowane bajerami. Oczywiście nikt z nas nie myślał, że do takich zegarków za kilka lat ktoś włoży kompas, odbiornik GPS, pager czy coś w tym stylu. Ważne były melodyjki no i kalkulator, ale ten był tylko jeden na całą szkołę.

Dwa lata temu moja chrześnica szła do pierwszej komunii. Zapytałem wówczas co by chciała w prezencie. Rower już miała i to taki, którego ja sobie do tej pory nie kupiłem. Górala z kilkudziesięcioma przerzutkami. Zegarek też miała. Iza powiedziała mi wtedy:

- Komputer.

Dostała komputer.

Jednak SATURN nie był moim pierwszym zegarkiem. Mój nadgarstek stracił dziewictwo dużo wcześniej. Jeszcze w przedszkolu pojechałem z ojcem do NRD, do Berlina Wschodniego, w którym mieszkała siostra matki mojego ojca a mojej babci. Wszyscy w rodzinie mówili na nią ciocia Kasia. Jechaliśmy do cioci Kasi na jeden paszport, w którym było wspólne zdjęcie. Pamiętam, że podróż trwała niewyobrażalnie długo. Pociągi i przesiadki, perony i znowu pociągi.

Dzisiaj jadąc do Berlina na cmentarz, by zapalić świeczkę na grobie cioci Kasi, lub odwiedzić znajomych, jadę tylko dwie i pół godziny. Nikt nie sprawdza mojego paszportu, nikt nie kontroluje mojego bagażu. To było wówczas nie do pomyślenia.

Nie pamiętam, żeby ogarnął mnie jakiś szczególny zachwyt na widok sztandarowej, reprezentacyjnej republiki socjalistycznej. Nie wiem, czy na półkach było więcej czy mniej towarów niż w Polsce. Wielkie wrażenie wywarły na mnie ruchome schody w jakimś wielkim sklepie, ale pewnie takie były też w Warszawie. Pamiętam jak się bałem, że te schody mnie wciągną gdzieś pod spód, bo przecież chowały się one w podłodze. Mój strach był tak duży, że z obawą wyczekiwałem aż dojedziemy na górę. Widząc kolejne stopnie, które znikają w podłodze chciałem przeskoczyć owo miejsce styku schodów z podłogą. Odbiłem się dwa stopnie wcześniej, żeby zdążyć. I oczywiście przeliczyłem swoje możliwości i nie wziąłem pod uwagę, że ojciec trzymał mnie wówczas za rękę. Przewróciłem się i upadłem na kolano, które sobie rozciąłem o kant stopnia. Oczywiście wzbudziłem sensację wszyscy zaczęli się na mnie gapić, ojciec coś wrzeszczał:

- Co ty wyprawiasz!

No i znowu się pobecałem i nie z bólu ale ze wstydu. Ciocia, chcąc mnie udobruchać natychmiast zaprowadziła mnie do jakiegoś stoiska. Zapytała mnie co chcę. Płacząc, wskazałem na zegarki i na plastikową figurkę niebieskiego kosmonauty z napisem DDR na hełmie. Ciocia bez zastanowienia kupiła mi co chciałem. I tym sposobem dostałem pierwszy w swoim życiu zegarek. Produkt marki „RUHLA”, nakręcany ze wskazówkami. Miał też datownik. Do dziś leży gdzieś w szufladzie. Twarda sztuka, przetrwała wszystkie elektroniki.

Największym hitem pobytu u cioci w Berlinie nie był jednak ani zegarek, ani ruchome schody, ani nawet wesołe miasteczko, do którego poszliśmy. Ale plecak Norberta – jej syna - wypełniony po brzegi żelaznikami. Takimi małymi samochodzikami z metalu. Prawie wszystkie miały otwierane drzwi. Niektórym otwierały się nawet maski. Były to różne modele, od ciężarówek, samochodów osobowych, kabrioletów, terenówek, po maszyny budowlane. Istny raj dla małego chłopaka, który w domu bawił się karabinem wyciętym z deski przez ojca. Siadałem na dywanie, wyciągałem je wszystkie, co do sztuki, i inscenizowałem różne sytuacje. To placu budowy, to toru wyścigowego. Trudno mi się było od tego oderwać. Byłem zły, gdy tato z ciocią wyciągali mnie gdzieś na miasto, by mi

pokazać na przykład pawie chodzące w berlińskim ZOO. Co mnie obchodziły wiewiórki, które oswojone wybierały orzeszki z dłoni, czy z kieszeni kurtki. To nie miało dla mnie żadnego znaczenia, bo nieustannie myślałem o tym plecaku pełnym żelazników.

Po powrocie opowiadałem wszystkim w przedszkolu jak to fajnie jest w Berlinie. Pamiętam, że wszystkie nierówności ekonomiczne w rozwoju siostrzanych przecież republik Polski Ludowej i Niemieckiej Republiki Demokratycznej, zredukowane zostały przeze mnie do twierdzenia, że tam żelazniki są a u nas nie ma. Chwaliłem się przy tym jednym z samochodzików, które zwędziłem z plecaka Norberta. Gdybym go poprosił pewni by mi go dał, ale Norbert nie znał ani słowa po polsku, a ja po niemiecku umiałem wówczas liczyć tylko do dziesięciu. Swoją znajomością niemieckiego też się chwaliłem rówieśnikom, którzy lgnęli do mnie, gdy wróciłem z Niemiec. Jednak to nie język obcy wabił moich kolegów i koleżanki ze straszaków, i nawet nie żelazne autko, ale czekolady, które przynosiłem do przedszkola. Skończyły się czekolady, przestałem być królem. Na szczęście ciocia Kasia regularnie przysyłała paczki z różnymi słodyczami, ciuchami, pończochami dla mamy. Rodzice racjonalizowali słodycze, żeby nam na jak najdłużej wystarczyły. Części z nich w ogóle ukrywali, by zrobić nam z nich paczki pod choinkę. Swojego przydziału nie zjadałem jednak od razu, wołałem zabrać do przedszkola. Wówczas znowu na chwilę byłem królem. W tamtych czasach wystarczała tylko mleczna czekolada SAROTI, z małym murzynkiem na opakowaniu, by rządzić wszystkimi starszakami. Kiedy kończyła się czekolada ostatnim asem moich rządów było samo opakowanie. Wielu moich rówieśników je zbierało. To była nauka w sobie, filatelistyka opakowań czekolady. Zresztą ja sam je kolekcjonowałem. Na początku układało się je pod wykładziną, żeby dobrze się wyprostowały. Następnie albo chowało się do jakiegoś dużego zeszytu, albo wieszano na słomianki zwisające na ścianach. Ja je przypinałem do słomianki. Miałem ich dosyć sporo, bo ciocia regularnie dbała o stan mojej kolekcji. Wszystkie, które się dublowały rozdawałem. Moje dublety robiły furorę aż do pierwszych klas szkoły podstawowej.

Ciocia Kasia zginęła kilka lat później. Jechała gdzieś na rowerze. Potrafił ją samochód w tym samym miejscu, w którym kilkanaście lat wcześniej zginął jej mąż, którego nigdy nie poznałem. Jego też potrafiło auto, gdy jechał na rowerze.

3.

Specyfiki stosunków polsko-niemieckich doświadczyłem na własnej skórze pod koniec lat osiemdziesiątych. Rodzina za granicą i niemieckie pochodzenie babki nie uszło uwadze kolegów starszych ode mnie. Któregoś poniedziałku, pamiętam to dokładnie, bo w poniedziałki zawsze dostawałem od taty blaszaną dwudziestozłotówkę, za którą kupowałem kolejny numer „Żołnierza Polskiego”, poszedłem jak zwykle do szkoły. Na przerwie przeglądałem sobie pisemko, podziwiając zbrojny oręż Ludowego Wojska Polskiego i sił Układu Warszawskiego, oraz studiując kolumnę na ostatniej stronie poświęconą sztuce walki i kulturystyce, jakiś chłopak podbiegł do mnie i powiedział:

- I co hitlerku?

Uśmiechnąłem się do niego, bo nie wiedziałem za bardzo o co mu chodzi. Jeszcze tej samej przerwy inni przybiegali i wołali za mną:

- Hitlerowiec! Hitlerowiec!

Co ja mogłem mieć wspólnego z Hitlerem? Z Waffen SS? Z Wehrmachtem? Ano nic. Ale moja babka i część mojej rodziny ze strony ojca, to wszystko byli Niemcy. Czy kogoś interesowało to, że babcia ocalała mojego dziadka, który spędził okres okupacji na robotach przymusowych? Czy oni wszyscy w tej chwili zdawali sobie sprawę, że moje nazwisko kończy się na -ski? Oni nie wiedzieli i ja też nie wiedziałem. Dlatego po powrocie do domu zapytałem rodziców, dlaczego mówią na mnie „hitlerowiec” w szkole. Pamiętam jak się ojciec wściekł. Pewnie musiał to samo przeżyć jak był mały. Natychmiast na drugi dzień poszedł do szkoły i zażądał rozmowy z dyrektorką. Stałem w tym czasie pod jej gabinetem i po chwili zostałem poproszony do środka. Pani dyrektor poprosiła, żebym powiedział, którzy to chłopcy mnie przezywali. No to powiedziałem, bo wiedziałem mniej więcej którzy i z której klasy. Po chwili zjawili się w pokoju moi prześladowcy. Dyrektorka nakrzyczała ich, pogroziła palcem i skwitowała:

- Żeby mi to było ostatni raz.

Wychodząc z gabinetu dyrektorki, ojciec poklepał mnie po ramieniu i powiedział:

- No, teraz będzie dobrze.

Okazało się, że wcale dobrze nie było. Już nazajutrz ci sami ciągle wołali za mną hitlerowiec, dodając do tego zupełnie obce dla mnie wówczas słowo: ormowiec. Już nie zaprzętałem głów rodzicom i pytaniem o to, co to znaczy „ormowiec”. Nie chciałem pogarszać swojej sytuacji i nie chciałem narażać na szwank stosunków polsko-niemieckich. Ormowiec na długo pozostał dla mnie synonimem kapusia.

Dzieciństwo na wsi ma swoje plusy i minusy. Z dzisiejszego punktu widzenia, kiedy człowiek posiada jakąś tam świadomość ekologiczną, bo nasłuchał się tych wszystkich mądrych rzeczy o zdrowym powietrzu wiejskim, o własnej marchewce z pola, o owocach, które dojrzewały bez oprysków chemicznych, wieś ma same plusy. Dla małego chłopca, dorastającego na wsi, wieś miała tylko minusy. Na wsi nie ma nic, prócz pól, lasów i bezpańskich psów, których wycie przerywa ciszę nocną. W ogóle jest cicho, za cicho. Poza tym należało wszystkim mówić „dzień dobry”. Rodzice mówili, rodzicom mówiono i my, dzieci naszych rodziców musieliśmy mówić. Najgorsze były niedziele. Zaganiano nas wówczas do kościoła. Jest to jedno z bardziej traumatycznych wspomnień, kiedy musiałem przed dziewiątą wstawać, myć się, ubierać by iść do kościoła. W drodze na msze należało wszystkim się ładnie kłaniać, powtarzać w nieskończoność to samo „dzień dobry”. W drodze powrotnej też. W kościele natomiast siadało się w niewygodnych ławkach, by co chwilę wstając, siadając i klęcząc doczekać się końca mszy. Być może ksiądz głosił jakieś opozycyjne wobec socjalistycznego ustroju kazanie, którego z zaciekawieniem słuchali moi rodzice. Mnie jednak nie obchodziła walka z reżimem. Nie miałem w ogóle świadomości jego istnienia.

Jedną z zabaw, którą sobie urozmaicałem niedzielny pobyt w kościele, wynalazł mój starszy brat. To on odkrył, że sino-szara farba olejna, którą pomalowane zostały ławki jest na tyle miękka, by można ją było zdrapywać paznokciem. Skrobałem w niej zatem różne szlaczki. Któregoś razu, gdy tak sobie zdrapywałem olejnicę, jakaś pani z tylnej ławki zaczęła mnie szturchać. I powiedziała do mojej mamy:

- No zobacz pani, co on wyprawia.

Matka się zaczerwieniła, nie tyle ze złości, co ze wstydu. Skarciła mnie solidnie. Po powrocie do domu dostało mi się jeszcze od ojca. Koniec końców cała nasz trójka, to znaczy ja, mój starszy i młodszy brat, zawsze mieliśmy komisyjne obcinanie paznokci w sobotni wieczór, tak żeby nie było czym skrobać farby w niedzielę. Tak oto skończyły się zabawy z farbą, ale nie skończyła się udręka godzinnej mszy. Pomysłowość wczesnych nastolatków nie zna granic i któregoś razu wpadłem na prosty pomysł. Do jego realizacji potrzebowałem Adama, mojego starszego brata. Umówiliśmy się, że będziemy chodzili na mszę, ale na dwunastą. Rodzice z młodszym bratem pójdą na mszę poranną, zostawią nas w domu. Pośpimy sobie dłużej w niedzielę. A kiedy przyjdzie na nas pora, aby iść do kościoła, to oczywiście wyjdziemy z domu, ale przecież do kościoła wcale dojść nie musimy. Adam się zgodził i tym oto sposobem, pod opieką starszego brata, zamiast się niedzielnie uduchować, zwiedzaliśmy razem różne zakamarki wsi. Na początku problemem były pieniądze, które dostawaliśmy, by wrzucić na tacę. Nie mogliśmy wrócić z nimi do domu, a wyrzucać też za bardzo nie chcieliśmy. Gdyby wówczas, tak jak dzisiaj, otwarte były jakieś sklepy w niedzielę, to na pewno zrobilibyśmy z nich odpowiedni użytek. Ostatecznie jednak Adam wziął na siebie obowiązek ich upłynnienia. Wszystko szło jak po maśle. Oczywiście aż do czasu. Któregoś razu jakiś znajomy rodziców nas przywodził, jak w odświętnych ubraniach szwędamy się po wiosce. Powiadomił o tym rodziców, rodzice powiadomili nas, a my udaliśmy, że nic o tym nie wiemy. Wówczas ojciec, niewiedomo skąd wyjął jakąś książeczkę, otworzył ją i po chwili zapytał:

- Co było na mszy?

Skamieniałem. Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Wydawało mi się, że ojciec trzymał w ręku jakąś miniaturową wersję tej wielkiej księgi, którą ma ksiądz na ołtarzu i że jak zacznę kłamać, to się natychmiast zorientuje i kłamstwo wyjdzie na jaw. Z całej opresji wybawiał nas Adam, mistrz kłamstwa. On to bez żadnego zająknięcia zaczął opowiadać jakieś cuda o Jezusie. Zrekonstruował na poczekaniu cały przebieg mszy, na której nie byliśmy. Tato spoglądał poważnie to na mnie, to na najstarszego syna, to w swoją książeczkę, którą w tej chwili trzymał w dłoni. Obracał co chwila jakieś karteczki a Adam cały czas mówił o tym, co było na mszy. I kiedy chciał już opowiadać o temacie kazania, tato przerwał mu i powiedział:

- No dobrze, dobrze. Wystarczy.

Kiedy tato zakończył przesłuchanie zapytałem brata, skąd on wiedział co było mówione w kościele, przecież razem zwagarowaliśmy. Adam wówczas powiedział mi, że on wie, bo czytał wcześniej książeczkę, którą miał w ręku ojciec. Oczywiście to też była błaga i oczywiście podobnie jak ojciec i ja wówczas uwierzyłem Adamowi. Jednak już nigdy więcej nie zdobyłem się na wagary. Chodziłem z rodzicami, na dziewiątą, nie oznacza to jednak, że przestała mi doskwierać nuda tej godzinnej ceremonii.

Nie pamiętam dokładnie kiedy to było, ale któregoś razu postanowiłem, że zostanę ministrantem. Nie, nie natchnął mnie żaden duch święty, nie usłyszałem podczas snu tajemniczego głosu: „Synu! Masz powołanie!”. Nic z tych rzeczy. Powód mojej decyzji był ciągle ten sam: ucieczka przed niedzielną, godzinną nudą. Jak postanowiłem tak zrobiłem. Dowiedziałem się u jednego z kolegów, który już był ministrantem, co trzeba zrobić, żeby móc ubierać ten biały fartuszek i stać koło księdza, gdy on odprawia mszę. On odpowiedział, że mam przyjść na zbiórkę w sobotę. No i poszedłem i tak oto stałem się z dnia na dzień ministrantem.

Okres mojej kadencji zbiegł się z pobytem w parafii ks. Andrzeja. Wyjątkowo dziwny typ. Jak mówił, a mówił dużo i szybko, to zawsze w kącikach ust zbierała mu się ślina, która jak biało z jajka ubijała się na skutek nieustannego gadania, i przypominała białą maź a nie ślinę. Oprócz tego ksiądz ten jako pierwszy chyba w naszej wsi miał odtwarzacz wideo i talerz telewizji satelitarnej. Tych bardziej zaufanych, starszych ministrantów zapraszał do siebie na wideo i, jak to mówiliśmy wówczas: na satelitę. Opowiadali oni później między sobą, że oglądali pornusy u księdza i o tym, jak razem z nim pili, ale kto by się tym wówczas przejmował. W okresie nieskazitelnosci wizerunku sług bożych, takie historie były bardziej fantastyczne niż książki Dicka. Dzisiaj prawdopodobnie sprawą zająłby się jakiś odważniejszy prokurator.

Pierwszą zbiórkę spędziłem na noszeniu i układaniu porąbanego drewna. Ksiądz zagonił wszystkich ministrantów do pracy. Praca uszlachetnia, ale ja nie czułem się uszlachetniony, chociaż tyrałem jak wół. Z dworu do piwnicy, tam i z powrotem, a hałda polan wcale się nie zmniejszała. W trakcie pracy odkryłem, że bycie ministrantem wiąże się z pewnymi profitami. Otóż w piwnicy księdza starsi stażem i wiekiem koledzy odkryli skład butelek z mszalnym winem. Dali mi jedno, żebym wyniósł i sami też pochowali kilka za kurtkami. Wyniosłem i oddałem im. A później stałem i przyglądałem się, jak chłopaki piją wino za murem plebani.

Później często popijaliśmy wino mszalne, a zwłaszcza przed sama mszą. Ksiądz przynosił dwie buteleczki. Jedną wypełnioną żółtawym, wytrawnym winem, w drugiej była biała woda. A my czekaliśmy zawsze na żółtą flaszeczkę. Upijaliśmy z niej i dolewaliśmy wody. Któregoś razu przegięliśmy. O ile przeważnie piliśmy do połowy, tym razem któryś z nas pociągnął nieostroźnie większy łysek. Skutek był taki, że ksiądz w trakcie mszy nalał sobie wina do kielicha, podniósł go do góry i powiedział jak zwykle: „Oto kielich krwi mojej, która za was i za wielu będzie przelana”. Poczym przechylił kielich, ale nie przełknął wina. Trzymał w ustach substancję, która w tym momencie była przecież krwią samego Jezusa i się rozglądał na boki. Purpurowy ze wściekłości patrzył na nas, cherubinków w bielutkich komżach, ze złożonymi rączkami. Żaden z nas nie dał nic po sobie poznać. Ksiądz przełknął w końcu i ukląkł. Nic nam po mszy nie powiedział, ale już więcej nie rozstawał się z żółtą flaszeczką.

Nie była to jednak najgorsza odmiana świętokradztwa. Któregoś razu służyłem do mszy pogrzebowej. Kiedy się zakończyła, ksiądz nie miał czasu na pochowanie komunikantów, czyli tych białych opłatków, które rozdaje chętnym ze słowami: „Ciało Chrystusa”. Zostawił klucze do tabernakulum i my, ministranci, mieliśmy wszystko doprowadzić do porządku. Sam zaś wyszedł, by odprowadzić zmarłego na cmentarz. Wówczas jeden ze starszych ministrantów, Zbyszek, zaczął jeść opłatki i częstował nas nimi, żebyśmy też jedli. Pamiętam jak przyklejały się do podniebienia. Kiedy skończyły się w jednym kieliszku, Zbyszek otworzył tabernakulum i wyjął kolejny kielich z opłatkami. Te też jedliśmy. Nie widziałem wówczas w tym nic dziwnego, zwłaszcza grzechu śmiertelnego – świętokradztwa. W końcu pożeraliśmy samego Jezusa, jego ciało. Było to dla mnie kolejne doświadczenie do kolekcji.

Zbyszek zmarł jakieś dziesięć lat temu. Zachorował na raka i umarł.

Moja przygodna z ministranturą skończyła się stosunkowo szybko. W zasadzie z dnia na dzień. Tak szybko jak stałem się ministrantem, tak szybko przestałem nim być. To było na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy marksistowsko-leninowski światopogląd materialistyczny, został wyparty przez połączone siły liberalnej gospodarki wolnorynkowej i idealizmu chrześcijańskiego. O ile wcześniej na religię chodziłem do salki katechetycznej, tak w tym okresie religia była już przedmiotem nauczaniem w szkole podstawowej, do której

chodząc. Był koniec roku. Na jednej z ostatnich lekcji ks. Andrzej, ten od pornusów, satelity i tych innych brzydkich rzeczy, zapytał wszystkich w klasie:

- Co sądzicie o lekcji religii? Podobały się wam lekcje ze mną?

Zapadło milczenie. Ksiądz zachęcał:

- No nie bójcie się, możecie wszystko powiedzieć. Śmiało.

Znowu wszyscy milczeli. Po chwili wstałem i zacząłem opowiadać o tym oglądaniu wideo, o tym pijaństwie i o tym, że ksiądz ma antenę satelitarną i w ogóle, że jest bogaty a tyle biednych dookoła parafian. Powiedziałem mu też o ubóstwie Jezusa, o którym nam tak cały czas opowiadał na lekcjach. Prawiłem tak jak nawiedzony franciszkanin w sporze z legatami papieskimi w kwestii ubóstwa kościoła. Do pełni wizerunku brakowało mi tylko szarego, lnianego habitu. Ksiądz Andrzej zrobił się wówczas czerwony. Zaczął szybko mówić, znowu pojawiła mu się biała maź w kącikach ust. Na koniec walnął rękę w biurko i krzyknął:

- Mówisz jak komunista!

Co ja wówczas wiedziałem o komunizmie? Nic.

Po powrocie do domu opowiedziałem o całym zdarzeniu rodzicom, tak na wszelki wypadek, gdyby mieli się dowiedzieć o tym od dyrektorki. Ksiądz Andrzej przyjechał wieczorem do nas. Znowu zaczął coś mówić. Nie było mnie przy tej rozmowie. Tylko on i rodzice. Skutek tej pogawędki był taki, że ojciec wyprosił księdza z domu. Rodzice nic mi nie powiedzieli. Żadnej dyscyplinującej pogawędki. Nic z tych rzeczy. Nadeszła pierwsza niedziela po całym wydarzeniu. Przychodzę do zakrystii, a ksiądz proboszcz, który miał wówczas mszę powiedział do mnie:

- Zostaw komżę i możesz iść.

Poszedłem. Zaraz po mnie poszedł też ksiądz Andrzej. Przeniesiono go na jakąś parafię, po miniskandalu obyczajowym, którego był głównym aktorem.

Bilans całego zdarzenia był taki, że moi rodzice nigdy więcej nie poszli na mszę do kościoła. Ja też chodzić nie musiałem. Problem godzinnej nudy niedzielnej sam się rozwiązał.

4.

Gwiezdne wojny, kto o nich nie słyszał? Dziś piszą na temat tego filmu rozprawy filozoficzne, przemysł zabawkowy, komputerowy zbija kolejne fortuny na motywach zaczerpniętych z sagi Lucasa. Pierwszy raz usłyszałem o rycerzach Jedi z laserowymi mieczami jakoś w latach osiemdziesiątych. Mimo ograniczeń w przepływie informacji, dorobku kulturowego itp., spowodowanego podziałem świata żelazną kurtyną, to i tak mój pierwszy kontakt z mistrzem Jodą nie był aż tak spóźniony.

Było lato. Wakacje. My się wszyscy znaliśmy, dlatego każdy obcy dzieciak, który przyjeżdżał na naszą ulicę od razu budził powszechne zainteresowanie. I właśnie w te wakacje przyjechał Piotrek do swoich dziadków. On był z miasta. Chudzina w okularach. Dzieciaki szybko i w sposób intuicyjny zawierają znajomości, dlatego już po kilku godzinach od jego przyjazdu byłem jego kolegą. To od niego usłyszałem o potędze mocy, o tym jak Lord Vader, dysząc w czarnej masce, uganiał się za młodym Skywalkerem. Nie przypominam sobie, by Piotrek był jakimś wyjątkowo utalentowanym narratorem, że uwiódł mnie sposobem jego opowiadania. Zaciekała mnie raczej sama treść sagi o rycerzach Jedi i złym imperium. Pamiętam, że egzaminowałem go bardzo dokładnie. Dociekałem najmniejszych nawet detali. Chciałem żeby mi wszystko opowiedział nawet to, dlaczego R2D2 nie mówi, a C3PO gada jak najęty. Pytałem go dlaczego mistrz Joda jest zielony, dlaczego nie jest normalnym człowiekiem i dlaczego Vader nosi maskę i kolor jego miecza jest inny niż Obi Wana. Nie wiem, czy odpowiedział na wszystkie moje pytania. Nie wiem, czy powiedział wówczas prawdę, czy tylko zrelacjonował dokładnie swoje przypuszczenia. W każdym razie, jeszcze tego samego dnia chwaliłem się wszystkim, że oglądałem Gwiezdne Wojny. Powtarzałem to wszystko, co powiedział mi Piotrek, dodając do fabuły wiele od siebie. Oczywiście w trakcie moich opowieści o filmie Lucasa także zadawano mi pytania. Wymyślałem wówczas jakieś absurdalne odpowiedzi, ale każdego dnia biegałem rano do Piotra, wyciągałem go z domu jego babci i powtarzałem wątpliwości, które wcześniej słyszałem. On mi znowu wyjaśniał sporne kwestie, a ja znowu powtarzałem to innym kolegom. I tak oto uchodziłem wśród kolegów na ulicy za tego, który jako pierwszy widział Gwiezdne Wojny.

Wakacje się skończyły. Piotrek wrócił do miasta. Dla mnie zaczął się kolejny rok szkolny, którego pierwsze miesiące upłynęły, a jakże, pod sztandarem Star Wars. Podobnie jak kumplom na ulicy, tak i w klasie wszystkim chwaliłem się tym, że widziałem ten film. Całymi przerwami prawiliem o technice walki laserowymi mieczami. O tym, że jeden robot jest mówiący, a drugi tylko piszczy, ale ten pierwszy robot mówiący rozumie to, o czym ten drugi popiskuje. I wówczas zostałem zdemaskowany. Jeden z kolegów wyciągnął taką gumową figurkę. Pokazał mi i zapytał:

- A wiesz kto to jest?

Była całkiem biała. Miała tylko czarne oczy i czarny, także gumowy karabin na plecach. W ogóle była jakaś dziwna. Wyglądała jak człowiek przebrany za robota. Powiedziałem, że to jest robot C3PO ze Star Warsów, ten chodzący, mówiący i wyglądający jak człowiek. On i inni się zaśmiali, właściwie to nie był śmiech, ale solidne wyśmianie mojej rzekomej znajomości filmu. Dzisiaj wiem, że to była figurka szturmowca Imperium, jednego z białych żołnierzy, którzy w filmie są źli. Nie. Nie przyznałem się wówczas, że nie oglądałem filmu. Równie bezlitośnie wyśmiewałem ich, że nie wiedzą jak wygląda C3PO i że to na pewno jest C3PO a nie żaden żołnierz. Innymi słowy, szedłem w zaparte.

Trylogię o Skywalkerze w całości tak naprawdę obejrzałem dopiero, jak rodzice kupili odtwarzacz video marki ORION, czyli gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych. Poszedłem wówczas do wypożyczalni kaset i pożyczyłem trzy kasety VHS. Żadne tam oryginały, kto by się wówczas przejmował prawami autorskimi. Na ich okładkach było niewyraźne czarno-białe ksero oryginalnej obwoluty, na którym z trudem przeczytałem: „Star Wars”. Dzisiaj

oryginały od pirackich kopii rozpoznaje się po znakach holograficznych. Wówczas liczył się film, a nie błyszczące hologramy.

Do najbliższego kina miałem jakieś cztery kilometry. Niby niedużo, nawet dla młokosa. No właśnie – niby. Problem był w tym, że kino było w mieście. Potrafiliśmy z kolegami godzinami łączyć po lesie, szukając poroży i nie zgubić się, ale wszyscy jakoś dziwnie baliśmy się miasta. W mieście były ulice, którymi należało chodzić. Nie można było tak sobie pójść na skróty. W mieście było dużo wszystkiego, zwłaszcza aut, które na naszej ulicy pojawiały się wówczas stosunkowo rzadko. Poza tym powszechna była plotka, że w mieście są cyganie, że oni porywają dzieci. Taka lokalna wersja mitu o Bejlisie, który porywał chrześcijańskie dzieci i ich krwi używał do wyrobu rytualnej macy. To wszystko skutecznie powstrzymywało mnie przed podbojem miasta.

Któregoś razu jednak w szkole pojawiło się hasło: „Mnisi z klasztoru Shao Lin”. Każdy ale to dosłownie każdy był na tym filmie. Bardzo chciałem go zobaczyć, zresztą nie tylko ja, Adam też. Uprosilśmy ojca, żeby nas zabrał do kina. Ojciec uległ i któregoś razu, w ciągu tygodnia, po lekcjach w szkole, wsiedliśmy do autobusu i pojechaliśmy do miasta, na film. Opiekunczy tato dzielnie trzymał nas za ręce i powtarzał co chwilę:

- Uważajcie, żebyście nie wpadli pod samochód.

W końcu siedliśmy w wypełnionym po brzegi kinie. Mnóstwo ludzi, tłok już przy wejściu. Ale każdy bilet miał swój numer (co się do dziś nie zmieniło). Zapadła ciemność i nagle bum! Na wielkim ekranie przede mną duży obraz. Mnisi z ogolonymi głowami tłuką innych, walczą na miecze. Pamiętam, że największe wrażenie na mnie zrobiły strugi krwi, które tryskały z ran, oraz jeden z mnichów, który zjadł surową żabę. Film był bez dubbingu. Były napisy, ale który dzieciak potrafi biegle je przeczytać jednocześnie nie tracąc nic z fabuły? Dlatego z filmu zapamiętałem żabę i krew i łyse głowy.

Drugi raz w kinie byłem, gdy rodzice wysłali mnie na kolonie do miasta. PRL otaczał opieką dzieci swoich pracowników. Mojej mamie się poszczęściło. Udało jej się wylosować dla dzieci zakładowe kolonie w ... Inowrocławiu. Żadne tam góry, żadne morze, ani nawet Bułgaria. Ale miasto to też przecież była atrakcja! Pojechałem. I znowu miasto, znowu samochody i znowu basen. Pływalnię miałem cały czas pod domem. Nie był on zatem dla mnie żadną atrakcją, ale nasi opiekunowie ciągal nas na inowrocławski basen każdego dnia. Widocznie uznali, że dla dzieciaków to frajda. Lubię pływać, lubię wodę, ale nie do przesady. Codzienne pielgrzymki internat-basen nie wzbudziły mojej szczególnej sympatii. Poza tym, gdy wróciłem z kolonii miałem jakieś straszne liszaje na skórze od chlorowanej wody, które mama leczyła maściami. Dodać należy, że woda w basenie, przy którym mieszkałem nigdy nie była chlorowana i jeszcze w trakcie napuszczania zieleniała od glonów. Nie to, co woda w basenie inowrocławskim. Tamta była przeźroczyta.

Jednym z kolonijnych szlagierów był PEWEX. Kiedy się doń wchodziło w powietrzu unosił się aromat bananów, gum do żucia, ananasów, czekolad. Nie tylko dla mnie, ale dla innych było to miejsce z innego świata. Każdego dnia, po powrocie z basenu tam biegaliśmy, wchodziliśmy do małego pomieszczenia, a w zasadzie je okupowaliśmy i wdychaliśmy egzotyczne aromaty. Łatwo sobie wyobrazić co czuł sprzedawca, kiedy nagle do jego PEWEXU, zajmującego niespełna dziesięć metrów kwadratowych wpadało dwudziestu chłopców z rozdziawionymi oczami, którzy pokazując paluchami na różne towary jeden przez drugiego pytali:

- Proszę pana, a co to jest?

- Proszę pana, a ile to kosztuje?

Oczywiście nikt z nas nie miał forsy, by kupić choćby jednego banana. Ale uparcie szukaliśmy na półkach czegoś, na co byłoby nas stać. I nie pamiętam dokładnie kiedy, ale któregoś razu, gdy rytualnie odwiedziliśmy PEWEX, jeden z nas zadał pytanie:

- Dałby pan nam jednego banana?

Sprzedawca się roześmiał i zaczął nas wypraszać. Wówczas wszyscy jakby ośmieleni tą prośbą zaczęliśmy prosić o banana. O tylko jednego banana. Właściciel PEWEXU nie tyle się zlitował nad zebrzącymi dzieciakami, ile dla świętego spokoju dał nam banana, ale zanim nam go wręczył zapytał:

- Ale pójdziecie sobie?

Gdy usłyszał gromkie: „Taaaaak!”, dał nam owoc. Wybiegliśmy z nim ze sklepu i w tym momencie pojawił się problem. A mianowicie, jak podzielić banana na dwudziestu ludzi? Wróciliśmy do PEWEXU i zaczęliśmy zebrać o banany dla wszystkich. Prawdziwy duch rewolucyjny w nas wstąpił. Skandowaliśmy niemalże: „Banany dla wszystkich! Banany dla wszystkich!”. Sprzedawca odpowiadał:

- Ale dałem wam przecież banana.

Na to my:

- Dał pan mu, a my też chcemy.

Sprzedawca:

- Ale już dałem. Nie mam więcej.

My:

- Ale pan niesprawiedliwy. Jemu pan dał, a nam nie. Ale pan jest...

Finał bananowej rewolucji był taki, że sprzedawca dał nam żyletkę, żebyśmy między siebie równo podzielili owoc. Innymi słowy kwestię równej redystrybucji dóbr zepchnął na nas.

To była moja pierwsza lekcja techniki rewolucji i komunizmu. To był chyba jedyny w historii ludzkości banan podzielony na dwadzieścia równych plasterków. To był chyba jedyny frajer na świecie, który wolał oddać superdrogą zachodnią żyletkę, zamiast kilku bananów.

Ale wracając do kina i kultury filmowej.

Pewnego dnia wychowawcy kolonijni poinformowali nas, że pojedziemy do kina. Zapakowali nas do autobusu i pojechaliśmy. I tym sposobem zaliczyłem drugą w życiu wizytę w kinie, w którym obejrzałem pierwszy odcinek przygód Indiany Jonesa.

Gwiazdne Wojny i Mnisi z klasztoru Shao Lin czy Indiana Jones, nie były ostatnimi filmami, które zapisały się w moim kulturalnym menu z dzieciństwa. Był jeszcze Rambo. Jedną z części przygód amerykańskiego osiłka, biegającego po wietnamskiej dżungli, obejrzałem w Gminnym Ośrodku Kultury. W epoce wideoodtwarzaczy władarze wiejscy zafundowali nam dzieciakom, jeden taki odtwarzacz, który każdej soboty był naszym prawdziwym dobrem wspólnym. Schodziliśmy się do GOK-u na filmy, które tam były puszczone z pirackich kaset. Wszystkie seanse były przez nas komentowane. Życie kulturalne w GOK kwitło wtedy jak nigdy wcześniej i jak nigdy później.

5.

Pierwszą lekcję bezsensownego okrucieństwa – o ile okrucieństwo w ogóle może mieć sens – odebrałem bodajże w szóstej klasie podstawówki. Na jednej z lekcji wychowawczynie ot tak sobie wybierała chłopaków, kazała kłaść się na biurko i zwyczajnie biła kawałkiem drewna. Od siedmiu do dziesięciu razy na tyłek. W końcu trafiła na mojego kolegę z ławki. Chłopak zaliczał się do twardzieli. W dodatku, jak to się wówczas mówiło: „chodził na karate” i co nie było bez znaczenia, był najsilniejszy z nas wszystkich. Dostał swoje, wracał do ławki cały czerwony z bólu na twarzy. Jako twardziel uśmiechał się i energicznie rozcierał ręką pośladki. I nie wiem, co mnie wówczas podkusiło. Wstałem i powiedziałem:

- A mnie pani nie zbije.

Pani od polskiego – bo tego przedmiotu uczyła – uśmiechnęła się złowrogo i zaprosiła mnie do biurka. Być może chwilę wcześniej nie miała mnie w swoim planie, ale zdaje się, że stwierdziła: „mnie pani nie zbije”, mocno dotknąłem jej dumy i ambicji. Coś w stylu: „Jak to nie zbije? Ja ciebie nie zbije? Smarkaczu! Ja!?”. Konkluzja takiego toku myślowego nie jest zaskakująca: „No to chodź. Już ja ci pokażę!”. Tym oto sposobem wyładowałem na biurku. Dostałem dokładnie siedem razy. Pani od polskiego, mimo wykształcenia humanistycznego, miała typowo techniczne ramię. Przykładała się bardzo, żebym dokładnie poczuł każde uderzenie. Kilka razy trafiła nieprecyzyjnie. Zamiast na pośladkach, kij wyładował na plecach. To bolało i to wcale nie na żarty.

Kiedy siódme uderzenie zaspokoilo jej dydaktyczno-pedagogiczną ambicję, kazała mi wrócić do ławki. Odprawiła mnie z ironicznym uśmiechem na twarzy i słowami:

- I co? Zbiłam czy nie?

Poszedłem do ławki z łzami w oczach. Spakowałem się i oznajmiłem jej, że właśnie wychodzę. Że nie można tak sobie bić uczniów. Powiedziałem, że pójdę do pani pedagog i opowiem, co ona wyprawia. Wówczas stało się coś, czego nigdy bym się nie spodziewał. Pani od polskiego spanikowała. Zaczęła mnie publicznie, przy wszystkich przepraszać i zatrzymywać, żebym nie wychodził z klasy. Właściwie sytuacja zupełnie odwrotna do teraźniejszych, kiedy to uczniowie przepraszają nauczycieli za zakładane im na głowy kosze na śmieci.

Nie poszedłem do szkolnego pedagoga, pozwoliłem się łaskawie przeproszać. Prawie do końca lekcji nauczycielka od polskiego używała najwykwintniejszych figur retorycznych, zapewniając, że takie bicie się więcej nie powtórzy, że już nie będzie biła. I wówczas cały jej autorytet, zbudowany na okrucieństwie, rozsypał się jak domek z kart.

Dzisiaj, czytając Makiawela, odnajduje frazy, że najskuteczniejszą formą rządów księcia, są rządy oparte na terrorze. Poddani dzięki temu szanują księcia i jednocześnie boją się go. Innymi słowy: szacunek przez strach. Ale jak kruchy jest to autorytet i jak ulotny taki rodzaj panowania, skoro dzieciak z podstawówki potrafi w ciągu kilkunastu minut upokorzyć despotyczną, okrutną władczynię – panią od polskiego?

Tylko raz w życiu nadmuchałem żabę. O nadmuchiwanym żabach usłyszałem także w podstawówce. Nie bardzo wiedziałem jak można żabę nadmuchać. A żab miałem pod dostatkiem. Wylęgały się one na basenie, z którego po sezonie spuszczano wodę do stawu, który był tuż obok. Innymi słowy dysponowałem jako dzieciak bardzo bogatym i różnorodnym materiałem empirycznym. Któregoś razu postanowiłem przeprowadzić pierwszy i ostatni w swoim życiu eksperyment naukowy na obiekcie żywym. Złapałem jedną z żab, ale oczywiście nie znałem procedury nadmuchiwania. Dlatego długo dmuchałem jej prosto w pysk z całych sił w płucach. Po kilku minutach dmuchania wypuściłem żabę. Ta sobie odpłynęła. Tak zwyczajnie. Nic się nie stało. Pobiegłem do domu i zapytałem się ojca,

który był dla mnie alfą i omegą we wszystkich sprawach, jak się nadmucha żaby. Odpowiedział mi:

- Bierzesz słomkę, wkładasz jej do tyłka i dmuchasz.

Na początku myślałem, że t żart. Jak można słomkę wsadzić żabie do tyłka? No, ale wróciłem nad staw. Zerwałem jakieś suche źdźbło trawy, znowu złapałem żabę i postępując według instrukcji ojca nadmuchałem ją. Żaba napuchła jak balon. Położyłem ją na wodę. Ta już nie zanurkowała. Machała łapkami, próbując odpłynąć. To nie było zabawne. Zrobiło mi się jej żal. Próbowałem ją uratować. Długim patykiem przyholowałem ją z powrotem do brzegu. Ta cały czas próbowała uciekać. Cały czas wiosłowała łapkami, ale bezskutecznie. To pogłębiało moje poczucie winy. W końcu ją wyciągnąłem. Znowu wsadziłem jej słomkę w odbył. Uważałem, że dzięki temu spuszczę z niej powietrze. To jednak nie pomogło. Wsadzałem coraz głębiej i głębiej. Żaba się wyrывała. W końcu zostawiłem ją na wodzie i poszedłem do domu. Kiedy na drugi dzień przyszedłem zobaczyć, czy żaba wyzdrowiała, w miejscu gdzie ją zostawiłem nie było jej. Podeszedłem brzegiem, by się upewnić, czy odpłynęła. Żaba była martwa. Leżała na dnie a do jej ciała były przyklejane czarne pijawki. Pobiegiem do domu i powiedziałem ojcu, że żaby zdychają jak się je nadmucha. Ojciec odpowiedział mi:

- A co, nie wiedziałeś?

Nie wiedziałem.

Na kursie prawa jazdy, na którym godziny jazdy odbywały się w brzęczących, podskakujących „maluchach”, instruktor nauczał, że jak nagle wyskoczy na jezdnię zwierzę, nieważne czy pies, kot czy sarna, to nie wolno skręcać na bok, tylko walić w zwierzaka. Ucieczka w bok bowiem może się skończyć na drzewie. Innymi słowy: życie za życie.

Któregoś razu wyjeżdżałem kolejną z obowiązkowych godzin jazdy. Tylko, że wówczas jeździło się we czterech w aucie. Ja, instruktor obok i dwóch kursantów z tyłu. Kiedy upływała godzina jazdy jednego, na miejsce kierowcy siadał ktoś z tyłu. I tak do końca, aż wszyscy swoje przejeździli.

To było w styczniu. Jedziemy, szyby zaparowane jak to w „maluchu”. Instruktor stale wyciera brudną gąbką przednią szybę, żeby coś było widać. I nagle przed maską widzę psa. Żaden tam bezpieczeństwa kundel, te są obyte w sztuczkach unikania pojazdów drogowych, ale duży owczarek niemiecki, który widocznie komuś uciekł i błąkał się szukając swego pana. Zamiast walić w psa, zahamowałem i skręciłem w prawo, w stronę chodnika. Zahamował też instruktor. Maluch z hukiem zatrzymał się na krawężniku. Wsiadamy, żeby sprawdzić co się stało. Widzę, że pies żyje. Ulga. Instruktor widzi urwane koło, które się dziwnie skręciło i wrzeszczy na mnie:

- Co ja mówiłem!?! Co ja mówiłem?! W psa! W psa!

Do końca kursu całe to zdarzenie ze mną w roli głównej służyło za przykład dydaktyczny w wykładzie teoretycznym pt. „Zwierzę nagle na drodze. Zasady postępowania”.

Widocznie mój instruktor nigdy nie nadmuchał żaby.

W ogóle wieśniacy mają osobliwy stosunek do zwierząt. Psy, koty, trzoda nie trzymane są w celu zaspokojenia estetycznych czy nawet terapeutycznych potrzeb, ale dlatego, że służą. Psy szczekają na obcych, koty robią to, co robić powinny – czyli łapią myszy. Świnie hoduje się na mięso. W latach osiemdziesiątych rodzice hodowali świnie. W okresie, gdy mięso było spod lady i na kartki, dzięki takiej hodowli nie musieli się martwić o mięsny deputat. Świnie uniezależniały nas od kolejnych planów gospodarki socjalistycznej.

Świniobicie zawsze odbywało się zimą. To był cały rytuał. Przychodził znajomy ojca, pan rzeźnik i cały dzień uwijał się przy ćwiartowaniu mięsa i robieniu wędlin. Ojciec mu w tym pomagał, a otuchy dodawali sobie flaszką wódki.

Któregoś razu świniobicie wypadło jakoś na początku moich ferii zimowych. Bardzo chciałem zobaczyć, jak wygląda świniobicie. Jeszcze dzień przed całym wydarzeniem prosiłem mamę, żeby pozwoliła popatrzeć. Ta się zgodziła, jak się okazało na moje nieszczęście.

Świnie przywiązano za jedną nogę do dużego zawiasu, żeby nie mogła uciec, chociaż się wrywała przy tym i kwiczała. Pan rzeźnik stanął okrakiem nad zwierzęciem, tak żeby świnia była między jego udami. Następnie dwa razy z całych sił, obuchem, uderzył ją w głowę. Świnia się przewróciła. Pan wbił długi nóż w jej szyję i z rany trysnęła krew, którą ojciec łapał do garnka. Miał całe dłonie w krwi. Wszystko to obserwowałem zza płotu. Ale niedługo, bo zemdlałem.

Później jeszcze długo po tym zdarzeniu miałem pretensję do ojca, że zabija świnie. Był dla mnie mordercą. On musiał długo mnie przekonywać, że tak trzeba, że musimy coś jeść.

Od tamtej pory zawsze unikałem jak ognia świniobicia. Wychodziłem gdzieś z domu i wracałem jak już dwie połówki świni stygły rozpięte na drewnianych drzwiach szopy.

6.

Mój ojciec dla swojego małego syna był supermanem. Do dziś pamiętam obraz zmniejszającej się gumowej piłki, którą kopnął tak wysoko, że odliczałem na palcach sekundy do jej powrotu na ziemię. Być może cało owo zdarzenie jest produktem idealizacji dzieciństwa. Jedno jest pewne, wtedy dla mnie nie istniał taki człowiek na ziemi, który mógłby tak wysoko kopnąć piłkę jak on.

Mój tato, syn swoich rodziców, brat trzech braci i zmarłej tuż po porodzie siostry, jest prostolinijnym człowiekiem, pełnym dumy i honoru. Wychowywał nas surowo. Nie było wartości pośrednich, zawsze czerń i biel.

Z urodzenia jest wieśniakiem, z wykształcenia zaś elektrotechnikiem. Jako jeden z pierwszych wiosce miał motor marki WSK, a jego rodzice jako pierwsi we wsi kupili ciągnik. Dziadkowie mieli duże gospodarstwo. Nie oznacza to wcale, że rozpieszczali swoich synów. Rytm dnia wyznaczały kolejne sezony. A to sadzenia kartofli, a to siania zboża, a to oprysków, w końcu żniw. U dziadków zawsze były takie same śniadania: chleb z masłem, do tego marmolada i zupa mleczna. Obiady też były mniej więcej takie same – przynajmniej w okresie wakacji, które spędzaliśmy z ojcem u dziadków, gdy on pomagał przy żniwach. Główne menu to mizeria z ogórków, jajko sadzone, bratkartofle i kwaśne mleko do popicia. Ale mimo to dziadkowie uchodzili za bogaczy, bauerów. Mieli własne kilkunastohektarowe gospodarstwo, oborę pełną krów, chlewnię pełną świń no i ciągnik: URSUS C-360.

Wszyscy we wsi kłaniali się w pas dziadkom, ściągając czapki.

Tak się jakoś złożyło, że mój tata poznał moją mamę. Jej rodzice nie mieli własnej gospodarki. Mało tego, pracowali w PGR. W owych czasach tzw. pegerowcy byli uważani za ludzi gorszej kategorii. I tak też potraktowano w domu ojca jego przyszłą żonę. Dziadkowie, tak mi się wydaje, nigdy nie zaakceptowali wyboru swego syna. Nawet nas, mnie i moich dwóch braci, lubili inaczej niż naszych kuzynów. Do dziś pamiętam jak latem skradaliśmy się do ogrodu dziadków, by pozbierać z ziemi gruszki i jak nas przyłapała babcia i gonila za nami krzycząc:

- Złodzieje!

Któregoś razu chciałem zrobić coś, żeby mnie dziadek polubił. Postanowiłem zrezygnować z zabawy i stać przy nim, by mu pomagać. To był jeden z upalnych dni początku żniw. Dziadek naprawiał pas transmisyjny do snopowiązałki. Cały dzień nitował kolejne listewki do grubego, ceratowego płótna. Ja, tak jak sobie postanowiłem, stałem przy nim. Cały czas. Dziadek wybierał kolejne aluminiowe nity z metalowej puszki, która stała na ziemi i za pomocą młotka nitował te listewki. Chciałem mu pomóc, podawać chociażby nity. Nabrałem ich całą garść i podałem mu. Ten jednak sięgnął do puszki. A później całą puszkę postawił obok siebie. Nie odezwał się do mnie ani jednym słowem. Nic. Ja tak stałem i stałem. W końcu dziadek skończył. Poszedł na obiad.

Kiedy się natrafia w literaturze bądź w filmie na różnego rodzaju mezalianse, to wydelikacyony czytelnik lub widz płacze. Mi wówczas nie było żal, że byłem wnukiem drugiej kategorii. Co więcej, z premedytacją z Adamem zakradaliśmy się na czerwone śliwki albo na gruszki do ogrodu dziadków. Gdybyśmy mogli je tak po prostu jeść, to nie smakowałyby nam tak bardzo. Mimo to, wiele razy pytaliśmy rodziców, dlaczego babcia z dziadkiem nas nie lubią. Nie pamiętam co odpowiadali. Ale dziś potrafię sobie wyobrazić bezsilność i wewnętrzny żal ojca do swoich rodziców, który powracał i potęgował się po każdym naszym podobnym pytaniu.

Ale wracając do ojca.

Po technikum, które ukończył dzięki swojej żonie, a mojej mamie, która za niego czytała lektury szkolne i mu je streszczała, poszedł do pracy. Zatrudnił się w wielkim kombinacie – w zakładzie metalurgicznym, którego odzyskane ziemie zachodnie odziedziczyły po Hitlerze. W międzyczasie zaczęli się z mamą budować. Wzięli kredyt, którego ostatnią ratę, symboliczną złotówkę, spłacić mieli w 2000 roku. Na szczęście nastąpiło jakieś zamieszanie w socjalistycznej gospodarce i udało się im wcześniej z niego wykaraskać. Tato wkrótce przestał pracować. Pewnego dnia miał wypadek, poraził go prąd. Leżał kilka tygodni w szpitalu. Mama zastanawiała się, czy sprzedać rozpoczętą budowę. Namawiali ją do tego zresztą teściowie, przekonując, że jej mąż jest chory i nie będzie komu jej dokończyć. Mama już się prawie zdecydowała ale odwiedli ją od tego murarze, którzy postawili już ściany nośne i zalali stropy piwnicy. Przyszli oni któregoś razu do ojca w odwiedzinach do szpitala, z jednym goździkiem w ręku i mówili do ojca:

- Inwestor, sprzedać zawsze zdążysz. Ty tu się lecz, my będziemy murowali a inwestorka będzie tylko rachunki zbierać i płacić.

W ten oto sposób obcy ludzie uratowali rodziców i nas od ciasnego, blokowego M-3.

Wkrótce ojciec wyszedł ze szpitala. Lekarze na odchodne stwierdzili u niego uszkodzenie zastawki sercowej. Zakładowa komisja lekarska orzekła, że to wada wrodzona i nie ma nic wspólnego z porażeniem prądem. Peerelowski kombinat sam się rozgrzeszył, ojcu przyznano kategorię inwalidzką pierwszej grupy z tak zwanym „zakazem pracy”. Ale zdaje się, że kierownictwo miało jakieś wyrzuty sumienia. Odwiedzili prywatnie ojca, tuż po zwolnieniu i na pamiątkę lub pocieszenie podarowali mu koc, który rodzice mają do dziś.

Tak oto zaczęły się dla nas lata chude. Tylko mama pracowała, ojciec na rencie inwalidzkiej dostawał jakieś grosze, bo to nie była renta zakładowa, ale zusowska. Zakaz pracy przez lata uniemożliwiał mu zatrudnienie się w innym miejscu. Mimo to dorabiał jak mógł. Do dziś ma „złote ręce”, z których wówczas korzystał, zakładając u ludzi instalacje elektryczne, wodne, kanalizacyjne. Jednak fuchy te miały charakter raczej akcydentalny. Zwyczajnie się zdarzały, a jak nie, to musiało wystarczyć to, co przynosiła w portfelu mama. Tak czy siak, ojciec zajął się prowadzeniem domu. Wówczas zdarzyło mi się go widzieć kilka razy z odkurzaczem w ręku. Nie ucierpiał na tym jego wizerunek supermana, który sobie w głowie skonstruowałem. Przeciwnie. Ojciec także gotował i to była dopiero przygoda kulinarna.

Jego flagowymi potrawami były: zupa gruszkowa, zupa mleczna z kluskami i wątroba wieprzowa z ziemniakami. Najlepsza oczywiście była wątróbka. Zresztą do dziś mama jej tak nie umie przyrządzić jak on. I to nieprawda, że wątróbki nie można solić przed smażeniem, bo jak się to robi, to stwardnieje. Ojciec jako kucharz lekceważył wszelkie zasady sztuki pichcenia. Solił przed i tak jakoś się składało i składa do dziś, że wątróbka ta jest miękka i bardzo dobra. Nie można tego samego powiedzieć o zupie gruszkowej. Ją gotował na bazie przetworów owocowych, które robił z żoną w ramach przygotowań zapasów na zimę. Nie ma co się nad nią długo rozpisywać, to była wodnista, słodkawa, biało-mięta breja, o goździkowym posmaku (ojciec dodawał do niej goździki), w której pływały kawałki gruszek i kluski z mąki i jajek. Innymi słowy paskudztwo, którego unikalny na skalę światową smak pamiętam do dziś. Jednak czasy się zmieniły. Na którejś z kolejnych komisji lekarskich ojca uwolniono od zakazu pracy. Zatrudnił się tam gdzie mama. W PSS SPOŁEM na stanowisku konserwatora. Mama była jego kierowniczką. Od tego momentu przestał być kucharzem i uwolnił nas od zup gruszkowych. Do dziś, kiedy spotykamy się przy rozmaitych okazjach, wypominamy mu zupy gruszkowe z dzieciństwa. On zawsze odpowiada:

- Co wy chcecie? Jedliście aż wam się uszy trzęsły.

To prawda jedliśmy, ale czekaliśmy na soboty i niedziele, kiedy mama na obiad smażyła kotlety mielone.

Ojciec miał ciężką rękę. Nie to, żeby nas lał regularnie i bez żadnego powodu. Ale kiedy zasłużyliśmy, to się nam dostało.

Pierwsze lanie dostałem w drugiej klasie szkoły podstawowej. Tuż przed wakacjami na prace ręczne pani, kazała przynieść kawałek materiału, skrawek mydła, nici, igłę, watę i nożyczki. Przyniosłem. Następnie padło polecenie:

- Dzisiaj drogie dzieci będziemy szyli misia.

Jak sobie dzisiaj pomyślę, że w drugiej klasie gdy z trudem gryzmołem literki a tu nagle misia miałem uszyć, pojawia mi się na twarzy uśmiech. No ale wówczas nikt nie protestował. Wszyscy szyliśmy misie. Pani rozdała tekturowe szablony, które mydłem mieliśmy odrysować na materiale. Później należało to wyciąć i zszyć, zostawiając wolny szew na łapce, by przez dziurę napchać waty a tym samym ożywić stworka. Całe czterdzieści pięć minut szycia. Pani pomagała swoim pupilkom, takim dziewczynom prymuskom, które miały wzorowego ucznia i które po każdej niedzieli przynosiły pani weekendowe wypieki i kładły jej na biurko. Ciasta, serniki, pączki a nawet jabłka i czekolady. Pani nie miała z nimi złe, przynajmniej zaoszczędzała na śniadaniach. Gdy zadzwonił dzwonek nie miałem nie tylko skończonego misia, ale nawet nie wyciąłem odrysowanego konturu, nie mówiąc o nawleczeniu igły. Nie to, że bym był jakimś całkowitym manualnym beztalenciem. Zwyczajnie na pracach ręcznych było tyle ciekawych rzeczy do zrobienia, tyle spraw do omówienia, że nie wystarczało czasu na wykonanie poleceń nauczycielki. Takich jak ja było więcej. Zanim wyszliśmy z klasy, pani powiedziała:

- Dokończcie misie w domu, na następnej lekcji będę je sprawdzała.

Chyba jest tak do dzisiaj, że pedagogiczną misję w klasach 1-3 szkoły podstawowej realizuje jeden nauczyciel. Wtedy także pani od prac ręcznych była jednocześnie panią od polskiego, środowiska, matematyki a nawet wuefu. Minęła sobota i niedziela. Komu chciałoby się szyć misia w majowy weekend? Gdy w poniedziałek pojawiłem się na pierwszej lekcji, okazało się, że pani ocenia misie. Nie miałem nic do oceny, jak większość zaskoczonych kolegów. Z wyrozumiałością szlachetnego pedagoga pani powiedziała:

- Przynieście je na jutro.

Obiecaliśmy zgodnie:

- Tak proszę pani!

Łatwo się domyśleć, że i jutro poszedłem do szkoły bez misia. I znowu pierwsza lekcja i znowu pani sprawdza. Inni koledzy byli zdaje się pilniejsi, albo mieli zdolniejszych rodziców. Ja swoim nie zaprzętałem głowy szyciem, zresztą był maj. Piękny maj, którego każdy dzień spędzałem na dzikiej zabawie na starym, ponemieckim cmentarzu. Innymi słowy: nie miałem czasu na misie. Kiedy pani zapytała mnie, gdzie mam misia, powiedziałem jej to, co obiecałem wczoraj, czyli:

- Jutro przyniosę.

To samo powiedział mój kolega, Dawid. Tylko my dwaj nie wykonaliśmy polecenia. Oczywiście nazajutrz sytuacja się powtórzyła. Tylko żaden z nas, ani ja ani Dawid nie wzięliśmy pod uwagę tego, że cierpliwość nauczycielki tak szybko się wyczerpie. Kiedy oznajmiliśmy jej, że nie mam misiów, ta powiedziała:

- Idźcie po rodziców. Powiedzcie im, że są wezwani do szkoły.

Przestraszyłem się i to nie na żarty. Wezwanie rodziców do szkoły było precedensem. Mój starszy brat wyprzedzał mnie o trzy klasy i nigdy się nie zdarzyło tak, by rodzice zostali wezwani do szkoły. Analogiczne obawy miał Dawid. Jego starsza siostra chodziła do klasy z Adamem.

Zostaliśmy przez panią wyproszeni z lekcji. Mieliśmy iść po rodziców. Ale strach przed konsekwencją wezwania ich do szkoły zwyciężył. Dawid mieszkał blisko szkoły. Poszliśmy do niego. Jego rodzice pracowali. U mnie ojciec był cały czas w domu. Siedzieliśmy tak u niego do trzeciej. Dawid i jego rodzina byli Świadcami Jehowy. Mi to nie przeszkadzało.

Przeciwnie. W trakcie wagarów, które spędzaliśmy u niego w domu z ciekawością oglądałem ilustrowane pismo święte, zawłaszcza sensacyjny, makabryczny obrazek przybitego do pała Jezusa. Moje wagary trwały dziewięć dni. Dawid się wykruszył po siedmiu. Nie to, że nie chciałem chodzić do szkoły ale codziennie, gdy pojawiałem się bez ojca pani mnie odsyłała do domu. Tak samo było z Dawidem. Zbliżał się czas wystawiania ocen i pani nam oznajmiła:

- Nie dostaniecie świadectwa, kiedy nie przyjdą rodzice.

Wówczas Dawid się zламаł. Przyszedł z mamą. Zostawił mnie samego. Mijały kolejne dni. Długie dni, w których wymyślałem scenariusze wybrnięcia z sytuacji. Rodzice nic nie wiedzieli o moich misiwych problemach. Ba! Nie domyślali się nawet, że nie chodzę do szkoły. Zawsze sam sobie zadawałem zadania domowe w ćwiczeniach i rodzice pomagali mi je rozwiązywać. Robiłem tak, żeby się nie zorientowali, że wagaruję.

Dziewiątego dnia mojej absencji, pani wykonała telefon do mamy, do pracy. Nie wiem, co powiedziała. W każdym razie mama nie wróciła do domu zadowolona. Na drugi dzień razem z ojcem szedłem do szkoły. Pani wpuściła mnie do klasy wraz z innymi, z ojcem zaś sobie porozmawiała. Pamiętam, że niezbyt chętnie wracałem do domu. Kiedy byłem już na naszej ulicy z daleka zobaczyłem mnie Adam, który przy starej stodole grał w piłkę. Podbiegł do mnie i powiedział:

- Ja bym na twoim miejscu nie szedł na chatę.

To mnie dobiło. Ale nic. Jak Chrystus w drodze na Golgotę tak i ja odliczałem kolejne kroki dzielące mnie od miejsca stracenia. Wchodzę do domu. Ojciec milczy. Wściekły. Nie zjadłem obiadu. Zamknąłem się w pokoju. O szesnastej pojawiła się matka. Myślałem, że mnie wybawi. Nic z tego. Ojciec wszedł do mnie do pokoju. Ściągnął pas i zaczął mnie łać. Chowałem tyłek jak mogłem. Zastaniałem pośladki rękami, w ogóle wyczyniałem najdziwniejsze figury gimnastyczne, żeby tylko uniknąć ciosu, że w pewnej chwili ojciec wybuchnął śmiechem i zaczął nawijać pasek na szlufki spodni. Widocznie rozbawiły go moje wygibasy, albo cała sytuacja z nie uszytym misiem. W każdym razie, kiedy w żartach wypominamy dzisiaj ojcu, że nas surowo wychowywał, że nie to co dzisiaj – klapsy są niehumanitarne, ten się śmieje i mówi do mnie:

- U ciebie, to nigdy tyłka nie można było znaleźć.

Trzech ważnych zasad nauczył mnie tato. Dumi oraz tego, że nie wolno kraść i nie wolno kłamać. Lekcja dumy trwała długo. Ojciec służył w niej jednocześnie za nauczyciela i za wzór postępowania. O zakazie kłamania nauczyłem się na przykładzie nieszczęsnego misia. Lekcję na temat kradzieży odebrałem wspólnie z braćmi i była równie radykalna, co casus misia.

Tuż za starym, ponemieckim cmentarzem, pewna starsza pani miała swoją działkę. Hodowała na niej oprócz kartofli różne inne warzywa. Między innymi marchewkę i buraki cukrowe, którymi karmiła swoje króliki. Któregoś razu Adam oznajmił, że buraki cukrowe są słodkie. Kiedy zapytałem go skąd on to wie, to opowiedział o poletku starszej pani. No i ruszyliśmy we trójkę. Adam prowadził, ja szedłem za nim, a za nami włókł się najmłodszy brat Piotrek, który w tym czasie przeżywał swoją własną fascynację czerwonym rowerkiem zrobionym przez ojca. Doszliśmy na miejsce. Po uważnych oględzinach miejsca przestępstwa, i kiedy upewniliśmy się, że starszej pani nie ma, przystąpiliśmy do ataku. Naszym łupem padło kilka marchewek i buraki cukrowe: sztuk dwa. Nie było łatwo je wyrwać z ziemi o konsystencji zaschniętej gliny. Mocowaliśmy się z nimi sporo czasu i całkiem zapomnieliśmy, że to nie nasze pole, nie nasze buraki i że w każdej chwili może nadejść starsza pani. No i nadeszła. Zaczęła do nas się wydierać z daleka, coś krzyczeć o złodziejach i wymachiwać w powietrzu drewnianą laską, swoim nieodłącznym atrybutem.

Zwiewaliśmy szybko, porzucając łup i co gorsze rowerek. Dopiero po chwili się zorientowaliśmy, że Piotrek o nim zapomniał ze strachu. Ale nic. Nie odważyliśmy się wrócić na miejsce przestępstwa. Jako, że w przyrodzie nic nie ginie, i czerwony rowerek wkrótce się pojawił. Przeprowadziła go do naszego domu starsza pani, która oznajmiła ojcu, że jego trzech synów zjadło jej dwa worki marchewki i ukradło kilkadziesiąt buraków. Ojciec nie wnikał czy to prawda, czy nie z tymi zniszczeniami. Koronnym dowodem był czerwony rowerek. Przecież nawet Adam, mistrz błagi, nie potrafiłby go w tamtej chwili przekonać, że to nie jest ten rowerek, który on nam zrobił, tylko inny. Zatem nie może być dowodem naszej winy. Każdy z nas dostał manto, oczywiście proporcjonalnie do wieku. Adamowi oberwało się najbardziej, mi średnio, a Piotrkowi najmniej.

Wszystkie epoki się kiedyś kończą. Epoka ojca-supermana także. To było jakieś dziesięć lat temu. Którejś nocy przybiegła do mnie spanikowana mama. Mówi:

- Marek! Wstań! Szybko, z ojcem coś się dzieje.

Przybiegam do sypialni rodziców i widzę ojca majaczącego w łóżku. Szybka decyzja: dzwoniemy na pogotowie. Po kilkunastu minutach pomagam wynieść sanitariuszom nosze, na których leży majaczący tato. Na drugi dzień w szpitalu lekarz informuje matkę, że jest podejrzenie wylewu. Ojciec od momentu wszczęcia sztucznej zastawki sercowej musi codziennie zażywać tabletki rozrzedzające krew. W związku z tym musi regularnie badać się w kierunku wskaźnika krzepliwości krwi. Zaniedbał trochę sprawę. Jakies naczynko w mózgu pękło i stąd problemy. Odwiedzamy go w szpitalu. Ojciec pomału wraca do zdrowia. Lecz to pomału to dla mnie było zbyt wolne. Złościłem się na niego. Mówiłem:

- Przestałbyś się pieścić. Nic się nie stało, już jesteś zdrowy. Na twoim miejscu robiłbym wszystko, by jak najszybciej być w domu. Dawaj! Ubieraj się, wracamy!

Ojciec traktował to jako żart. Leżąc na łóżku, pod kroplówką uśmiechał się i odpowiadał:

- Synku, chory jestem.

Ale ja wcale nie żartowałem. Naprawdę chciałem, żeby wracał do domu. Nie mogłem pogodzić się z tym, że mój superman leży bezradnie w szpitalnym łóżku. Byłem zły na niego. Uważałem, że się pieści, że lubi jak tak przy nim wszyscy skaczą i biegają. Nie dopuszczałem do głowy myśli, że jest chory.

7.

Nie mogę napisać o mamie, nie popadając przy tym w patos. Ale nawet gdybym chciał ją opisać, to musiałbym wyssać ze wszystkich hagiografii to, co najświętsze i pomnożyć przez nieskończoność. Zawsze cierpliwa, zawsze słuchająca, zawsze kochająca i do dziś martwi się o przyszłość swoich synów, których traktuje ciągle jak małe dzieci i którzy znowu stają się na kilka godzin małymi dziećmi, gdy zjeżdżają się do niej na obiady niedzielne.

Pochodzi z wielodzietnej i ubogiej rodziny, która pod koniec lat pięćdziesiątych przyjechała z okolic Lublina na ziemię odzyskaną. Naturalną dobroć i ciepło odziedziczyła po swojej mamie. Z tą babcią mam związane same dobre wspomnienia. Od zawsze pamiętam ją jako starą, pomarszczoną, brzydką kobietę. Teoretycznie, będąc dzieckiem, powinienem uciekać od niej. Pasowała idealnie do wizerunku staruchy z lasu, która w swoim chlebowym piecu piekła małe dzieci. Jednak było inaczej. Wszyscy Ignęliśmy do niej. Gdy tylko rodzice zabierali nas na niedziele do dziadków, tuż po wejściu do babcinego domu rzucaliśmy się jej na szyję i kłóciliśmy o to, kto dzisiaj będzie czesał jej włosy. Babcia zawsze miała długie włosy i od zawsze koloru szaro-siwego. Miała w sobie także coś magicznego. Moja mama opowiadała nam o tym, jak to będąc dzieckiem prowadziła krowę z łąki. Nagle krowa się przewróciła. Złana cała pianistym potem leżała na drodze. Spanikowana mama, jako mała dziewczynka pobiegła z krzykiem do domu i a chwilę razem z naszą babcią wróciły do zwierzęcia. Babcia wówczas obejrzała krowę, zajrzała jej do pyska i zaczęła coś szeptać do ucha. Następnie swoim fartuchem wytarła zwierzęciu łeb i zaczęła ocierać bok nieustannie mamrocząc coś pod nosem. I nagle krowa wstała. Zerwała się jak gdyby nic na cztery kopyta i prowadzona przez babcię dotarła do obory. Po całym zdarzeniu wypytywała mamę czy prowadząc krowę kogoś nie spotkała. Ta odpowiedziała, że tak i tą panią. Babcia na to:

- Uważaj dziecko, ona ma złe oczy.

Od tamtej pory każda kolejna krowa babcina, a miała zawsze jedną, miała przywiązaną do rogu czerwoną wstążkę. Drugi i ostatni raz użyła babcia swoich czarów kilkadziesiąt lat później. Mama urodziła pierwsze dziecko. Szczęśliwa chodziła z wózkiem po wiosce i chwaliła się swoim pierwszym synem. Któregoś razu, gdy wróciła z takiego obchodu Adam zaczął histerycznie płakać. Wył jak opętany. Nie potrafiła go uspokoić. W końcu babcia nie wytrzymała i zapytała:

- Czemu on ci się tak drze?

Ta opowiedziała o tym, że płacze tak od momentu powrotu ze spaceru. Babcia spojrzała na mamę, pokiwała z politowaniem głową. Następnie wzięła Adama na kolana. Napłuła na swój fartuch i wytarła płaczące niemowlę. Adam się uspokoił. Przestał ryczeć i zasnął. Od tamtej pory do każdego naszego wózka była przywiązana czerwona tasiemka.

W ogóle fartuch był nieodłącznym fetyszem babci. Sprany i stary, ale zawsze czysty. Miał dużą kieszeń pośrodku, z której babcia wyciągała dla nas cukierki. To były przeważnie toffi, których mogliśmy pochłaniać niezliczone ilości. Nie dlatego, że były jakoś wyjątkowo smaczne. Zresztą o to, by nie brakło nam słodczy dbała cały czas ciocia Kasia. Babcine toffi smakowały nam dlatego, że były babcine. Na wyścigi wyciągaliśmy ręce, a później licytowaliśmy wzajemnie, którego z nas babcia bardziej kocha, któremu dała więcej cukierków. Babcia jednak zawsze dawała po równo.

Babcia robiła najlepsze na świecie ruskie pierogi, które podawała ze skwarkami i śmietaną lub zsiadłym mlekiem. Były olbrzymie, całkowicie nieforemne w grubym cieście. Nie to co te, które dzisiaj robi mama. Wszystkie jak jeden. Tamte były inne. Kiedy babcia robiła pierogi natychmiast dowiadywał się o tym tata i ja. Razem szliśmy do babci a ta specjalnie dla nas podsmażała je na blaszanej patelni.

Największym utrapieniem babci był jej mąż, nasz dziadek. Niepoprawny kobieciarz, który przyłapany na kolejnym romansie wypierał się w żywe oczy. Babcia w złości wówczas mówiła do niego:

- Ty chujasie!

To było jej jedyne przekleństwo. Nigdy nie używała innych, przynajmniej ja nie pamiętam. Ale po wszystkim i tak wybaczała dziadkowi. Do końca spali w jednym łóżku.

Babcia, którą od zawsze pamiętam jako starą kobietę, nigdy nie chorowała. Aż do czasu. Któregoś razu zabrali ją do szpitala. Po tygodniu przywieziono ją z powrotem. Pół roku później znowu zabrano ją pogotowie. W szpitalu zapadła w śpiączkę i umarła. Pamiętam jeszcze jak siedziałem z mamą przy jej łóżku i jak mama głaskała ją po czole. Babcia nie otwierała oczu, tylko marszczyła czoło, tak jakby czuła dotyk ręki swojego dziecka.

Wraz z śmiercią babci skończyła się pewna epoka. Czas dzieciństwa, kobiety w fartuchu, która miała dla wszystkich swoich wnuków i wnuczek pełną kieszeń cukierków, rytuał świąt bożego narodzenia, kiedy to wszyscy schodziliśmy się do dziadków by zjeść wigilię. Wszystko się zmieniło, tylko nie dziadek. On dalej był psem na baby. Żerował głównie w okolicach swojego rocznika: 1913. Ale nie gardził też młódkami, to znaczy paniami w wieku mojej mamy, lub młodszymi. Te nie gardziły nim, bo miał wysoką emeryturę. Prawdopodobnie pokazywały mu one kawałek piersi, pośladka, uda a ten w zamian dawał im pieniądze. Jedno jest pewne: dziadek żył kobietami, a kobiety żyły dzięki niemu. Idealna symbioza. Już po śmierci babci, kiedy epoka wideo rozkwitała, a wypożyczalnie kaset wyrastały jak na drożdżach, sąsiad dziadka otworzył taką w naszej wsi. Dziadek wybrał się tak po sąsiedzku zobaczyć ten geszef. Zaraz po tej wizycie oznajmił mi krótko:

- Dam ci pieniądze, kup mi wideo.

Kupiłem mu. Chociaż nie wiedziałem skąd taka nagła decyzja i w ogóle po co mu w tym wieku wideo. Ale kiedy miesiąc później mi powiedział:

- Przywieź mi z miasta kasety, tylko tak, żeby mama nie wiedziała.

Wiedziałem już w czym rzecz. Dziadek odkrył przebogatą krainę filmów porno. Zresztą miał tylko dwie własne kasety i były to jakieś DDR-owskie produkcje XXX.

Wszyscy ludzie kiedyś umierają. Prędzej czy później. Dziadek świadomości śmiertelności osobniczej doświadczył płacząc nad trumną żony. Później przeżył własny okres żałoby, który umiłił sobie wódką. Żałoba się skończyła, ale dziadek dalej pił. Potrafił przyjechać do nas w niedzielę i wypić z ojcem jeszcze przed obiadem pół litra. Drugą połówkę stawiał ojciec po obiedzie. Kończyło się to tak, że tato szedł spać, kompletnie nawalony. Dziadek siadał na swój rower i jechał do domu, odwiedzając w drodze powrotnej swoje kobiety. Któregoś razu jednak, w trakcie pijaństwa w towarzystwie swoich wiekowych kolegów i koleżanek zasłabł. Upadł na ziemię, tracąc przytomność. Zanieśli go do domu. Nazajutrz odwiedził go lekarz rodzinny, który powiedział:

- Jak chce pan jeszcze pożyć, to żadnej wódki więcej.

Od tej wizyty dziadek nie pił. Do śmierci nie wziął alkoholu do ust. Przesiadywał później całe dni przy swoim kaflowym piecu, na którego płycie babcia smażyła nam pierogi. Patrzył w okno i oglądał świat. Czasami wychodził na podwórko, siadał na kamieniu z piaskowca i czekał na swoje kobiety, które odwiedzały go regularnie każdego miesiąca, po tym jak listonosz przyniósł mu emeryturę. W tych dniach się ożywiał, stawał się wesoły, zabawny, dowcipny. Moje ciotki znały doskonale słabość dziadka. Staraly się wyczuć godziny odwiedzin utrzymanek. Zaczęły się one przed płotem aby w odpowiedniej chwili przepędzić ladacznice. Wysyłały też swoje córki, moje kuzynki, do dziadka aby wyciągnęły ile tylko się da z jego portfela zanim on rozda swoim – jak to mówią – kurwom. Prosiły go:

- Dziadek, daj na buty.

Dziadek nigdy nie ulegał takim błaganiom. Zawsze mówił:

- Nie mam, kupiłem węgiel.

To była jego standardowa odpowiedź. I gdyby tak policzyć ile to razy dziadek w roku kupował węgiel, to mógłby otworzyć skład opału. Cały rok, każdego miesiąca oznajmiał, że kupił węgiel i nie ma pieniędzy. A ciotki szlag trafiał, gdy widziały panie, wychodzące od dziadka obciążone torbami, z których wystawały kiełbasy i szynki.

Do końca zachował przytomność umysłu. Nie był jednym z tych mamroczących starców, którzy zapomnieli co gdzie włożyli minutę temu. Starość oszczędziła jego mózg, ale nie ciało. Jakieś dziesięć lat po tym, gdy stał nad trumną swej żony, zachorował na gripę. Trafił do szpitala, w którym przeleżał kilka dni. Wypisano go wkrótce i wrócił do domu. Odwiedziła go mama. Ten jej powiedział, że zjadłby z chęcią te kopytka z ciemnym sosem, które zawsze u nas jadał na obiadach. Mama mu przygotowała i na drugi dzień zaniósł. Dziadek zjadł, porozmawiał z mamą jeszcze o różnych sprawach. Umarł tej samej w nocy, w śnie.

Dziadek też nigdy wcześniej nie chorował.

Mama czasami powtarzała nam jedną z mądrości, którą słyszała od swojej mamy:

- Dziecko, w trakcie wichury drzewo, które cały czas skrzypi, nie upada. Przewalają się tylko zdrowe drzewa, a nie te wiecznie skrzypiące.

Wracając do mamy. Od wypadku ojca przejęła ona na swoje barki obowiązek utrzymania rodziny. Nie było to łatwe. Dorastający chłopcy mają nieograniczony apetyt. Są wiecznie głodni. Dlatego robiła co mogła, by wyżywić nas i męża. Nie było w tym jednak nic nadzwyczajnego. Prawdziwy egzamin z dzielności zdała, gdy któregoś razu jej mąż wrócił od kardiologa z informacją, że musi być operowany. Że konieczne jest wszczęcie sztucznej zastawki sercowej. Byłem wówczas w siódmej klasie szkoły podstawowej. Najbliższy szpital, w którym robiono takie operacje znajdował się w Poznaniu. Nie wiem jak to zrobiła, ale natychmiast znalazło się dla ojca miejsce w tym szpitalu. Ojciec pojechał do Poznania. Wszystko było przygotowane. Nawet ustalony był termin operacji. Lecz dzień przed zadzwonił ojciec i powiedział mamie, że operacja została przełożona i że pan doktor koniecznie chce rozmawiać z kimś z rodziny. Mama natychmiast zorganizowała transport do Poznania i pojechała. Długo nie wiedziałem po co. W każdym razie po tej wizycie ojca operowano i szczęśliwie żyje do dnia dzisiejszego.

Dopiero niedawno mama opowiedziała o tym, że pan doktor przyjął ją w swoim gabinecie. Pokazał słoiczek z kawałkiem plastyku, i opowiadał o tym, w jaki sposób i gdzie to będzie wszczepione. Opowiedziała też o tym, jak wychodząc z gabinetu zostawiła lekarzowi na biurku kopertę, w której było dwa tysiące marek – wszystkie nasze oszczędności, które rodzice uzbierali przez lata z tych pieniędzy, które dostawali potajemnie od ciotki Kasi. Opowiadała też o tym, jak pan doktor otworzył kopertę, przejrzał banknoty i powiedział:

- Na pewno jutro, o dziewiątej rano będziemy operować. Proszę uspokoić męża.

I o tym jak ją z uśmiechem odprowadzał do wyjścia.

Dzisiaj jak jej opowiadam o swoich perypetiach życiowych, ona śmieje się i mówi:

- Ale z ciebie szatan!

Ja jej odpowiadam:

- Mamo, jaki szatan? Ja i tak pójdę do nieba, bo na pewno – jeżeli niebo istnieje – to ty w nim masz teraz swoje miejsce. A ty nigdy nie pozwolisz, nawet samemu bogu na to, by jedno z twoich dzieci włączyło się po piekle.

8.

Tomek był moim pierwszym i ostatnim jak do tej pory przyjacielem. Nie wiem jak i kiedy go poznałem, ale to właśnie do niego odbyłem swoją pierwszą podróż na czerwonym rowerku. Od tamtej pory spędzaliśmy razem wszystkie wolne chwile. Praktycznie byliśmy jak bracia. Tomek jest moim rówieśnikiem, dlatego wszystkie dziecięce problemy i fascynacje dzieliliśmy po połowie. Adam był zawsze w innym świecie, w świecie dorosłych. Wyprzedzał mnie o trzy lata, dlatego nie mógł być powiernikiem moich sekretów, które dla niego były zawsze błahe i niewarte uwagi. Natomiast Piotrek, młodszy brat, był zawsze młodszy. A z gówniarzami się przecież człowiek nie zadawał.

Pierwszą wspólną akcją zaplanowaliśmy i przeprowadziliśmy w przedszkolu. Nie wiem, kto z nas wymyślił plan, ale był on prosty: uciekniemy z przedszkola. I kiedy wiosenną porą, dwie przedszkolanki wyprowadziły naszą grupę na zwyczajowy spacer do pobliskiego lasu, my, niepostrzeżenie uciekliśmy. Nie chcieliśmy uciec gdzieś w konkretne miejsce, ale tylko zwyczajnie zwać. Dlatego tak, żeby nas nikt nie zauważył wróciliśmy do budynku przedszkola, w którym czekaliśmy na grupę. Nie zdawaliśmy sobie też sprawy z ewentualnych konsekwencji naszej dezercji i z tego, że przedszkolanki mało co nie dostały zawału, gdy zbierając dzieciaki do powrotu nie mogły się doliczyć dwóch sztuk. Wówczas byliśmy zadowoleni, że udało nam się przechytryć czujną ochronę pań przedszkolank no i że zrobiliśmy solidnego psikusa.

Finał był taki, że przez tydzień musieliśmy za karę siedzieć w kącie. Nie wolno nam się było do nikogo odezwać. Patrzyliśmy jak się inni bawią. Patrzyliśmy też na siebie, bo siedzieliśmy w przeciwległych kątach sali. Jedynym miejscem, w którym nie obowiązywała kara, była stołówka. Kiedy razem ze wszystkimi schodziliśmy na śniadania, obiady i podwieczorki mogliśmy rozmawiać. Ale i tu, przynajmniej ja, nie byłem całkowicie wolny od konsekwencji naszej ucieczki. Przedszkolanki wiedziały, że nie cierpię bawarki, takiej mieszaniny mleka i herbaty, którą podawano zawsze na śniadanie. Jej smak i zapach był dla mnie tak obrzydliwy, że pijąc ją zawsze zatykałem sobie palcami nos i łykałem jak najszybciej mogłem. W trakcie odbywania kary za dezercję, panie przedszkolanki nie pozwalały mi pić z zamkniętym palcami nosem. To właśnie wówczas opanowałem do perfekcji technikę izolacji zmysłu powonienia bez użycia palców. Coś na kształt jezuickiego *separatio mentis*. Piłem bawarkę, nie czując jej smaku i zapachu bez konieczności zatykania nosa.

Pokuta niczego nas nie nauczyła. Co więcej, staliśmy się nagle sławni w całym przedszkolu. Każdy chciał być w naszej bandzie. I właśnie wówczas, wykorzystując nasze pięć minut popularności, wpadliśmy na kolejny superpomysł. A mianowicie każdy, kto chciał być w naszej bandzie musiał zapłacić. Nie była to duża suma, nawet nie pamiętam ile to było dokładnie, ale w każdym razie: jak nie wpłaciłeś, to nie mogłeś być w bandzie. Wszystko szło jak po maśle. Gromadziliśmy już małą fortunę i pewnie dzisiaj bylibyśmy szefami jakiejś zorganizowanej grupy przestępczej, gdyby nie wnuczek pani kucharki, Rafał, który też chciał być w naszej bandzie. Nie miał on forsy na wejście, i o tym go poinformowaliśmy. Ale Rafał koniecznie chciał być w bandzie, jeszcze tego samego dnia. Poszedł zatem do babci-kucharki i poprosił ją o pieniądze. Babcia zanim dała, zapytała się na co mu potrzebne w przedszkolu pieniądze. No i Rafał wszystko jej wygadał. Tak oto pani kucharka dowiedziała się o naszym małym przedsiębiorstwie. Za chwilę dowiedziała się pani przedszkolanka a po kolejnej minucie sama pani dyrektorka, która niebywale mnie lubiła. Wielka trójca: kucharka, przedszkolanka i dyrektorka, stanęła nad nami i jednym głosem rozkazała opróżnić kieszenie. Na stolik wysypały się monety – byliśmy spaleni. Resztę tego dnia przesiedzieliśmy w gabinecie dyrektorki, gdzie czekaliśmy na rodziców aż przyjdą nas odebrać z przedszkola. Nie było wówczas żadnej kary. Ale od tego dnia nasze drogi z Tomkiem się rozeszły. Mama przeniosła go do innego przedszkola.

Mimo, że nie mogliśmy razem doprowadzać do ruiny psychicznej przedszkolek, ani rujnować skarbonek rówieśników, to spotykaliśmy się w każdych chwilach wolnych. Robiliśmy to, co robią wszystkie dzieci. Graliśmy w piłkę, łąziliśmy po drzewach na starym poniemieckim cmentarzu. Robiliśmy też to, czego dzieci w naszym wieku nie robią. A mianowicie sabotowaliśmy budowę wielkiego cmentarza komunalnego i w między czasie odkopywaliśmy poniemieckimi bagnietami wojskowymi trupa zamordowanej dziewczyny.

Jak już wspominałem obok domu rodziców, tuż za polną drogą był stary, poniemiecki cmentarz, na którym po 1945 r. grzebano ciała Polaków, mieszkańców naszej wsi. Obok cmentarza rozciągało się wielkie, pegerowskie pole, które było w jakimś sensie dla nas atrakcją. Taki olbrzymi, kilkuhektarowy plac zabaw. A bawiliśmy się różnie. Największą popularnością cieszyło się polowanie na zające, na jastrzębie i pogoń za BIZONEM. Chodziliśmy we dwójkę, tyralierą przez pole, z kamieniami, włóczniami (zaostrzonymi kijami akacjowymi) i szukaliśmy zajęcy. Oczywiście nigdy nam się nie udało upolować ani jednej sztuki. Małe, szare bestie były zawsze szybsze, szybsze od naszych kamieni i dzid. Kiedyś poirytowany wiecznym brakiem sukcesów w tej dziedzinie zapytałem ojca, co trzeba zrobić by zając stanął i dał się złapać. Ojciec powiedział mi wówczas, że jak tylko zobaczę szaraka to muszę zagwizdać i zacząć bić się z całej siły kamieniem w kolano, ale tak żeby zając to widział. Posłuchałem ojca i zdradziłem sekret powodzenia polowania Tomkowi. Od tamtej pory tłukliśmy się kamieniami w kolana na widok zajęcy. Ale i tak ani jednego nie złapaliśmy, za to bolały nas kolana. Przestaliśmy polować na zające. Zaczęliśmy polować na jastrzębie, które latały wysoko nad polem wypatrując zajęcy.

Żeby złapać ptaka wymyśliliśmy sobie, że będziemy udawać owce. Bo przecież orły porywają małe owce. Wówczas dla nas nie było żadnej różnicy między orłem a jastrzębiem. Chodziliśmy na czworaka po polu i głośno wołaliśmy: „beeee, beeee” żeby nas jastrzęb usłyszał i zapolował na nas. Najgorzej się chodziło tuż po żniwach. Całe przedramiona mieliśmy podrapane od rżyska. Nie trzeba chyba nadmieniać, że i to polowanie nigdy nie zakończyło się sukcesem. Żadne jastrzęb się nie nabral na nasze udawanie.

Te zabawy jednak były niczym w porównaniu z gonieniem BIZONA. BIZON to żadne zwierze, ale nazwa kombajnu. Kiedy zbliżał się sezon żniw od rana czatowaliśmy na BIZONA na polu. Kiedy pojawiała się czerwona machina i wjeżdżała z hukiem na pole, padało gromkie hasło: „BIZONY jadą!” i rzucaliśmy się w pościg. Kto szybciej złapie BIZONA, kto się zdoła uwiesić. Rzadko się to nam udawało, bo z tylnej części kombajnu wylatywała wymłócona słoma i pył, który nieznośnie drażnił oczy i nie pozwalał normalnie oddychać. Po takich akcjach wyglądaliśmy jak morusy. Czarni od pyłu, ze słomą we włosach, ubraniach. Świeciły się tylko zęby i łzawiące od kurzu oczy. Ale to i tak jeszcze nic. Nasze mamy zwykle radziły sobie z takim brudem. Jednak któregoś razu, kiedy było ciepło a basen był jeszcze zamknięty, poszliśmy się tam pobawić. Odkryliśmy wówczas, że smoła, którą uszczelniano dno basenu jest miękka i można z niej lepić kulki i różne inne figurki. Tak je lepiiliśmy, że smołę miałem nawet we włosach. Oczywiście całe ubranie do wyrzucenia. W efekcie dostałem tygodniowy zakaz spotykania się z Tomkiem no i tato ostrzygł mnie na zero, bo nie można było domyc włosów.

Historia z trupem zamordowanej dziewczyny i bagnietami była inna. Najpierw o bagnietach. Otóż w na działce, na której rodzice postawili dom, przed wojną była jakaś knajpa niemiecka, którą w trakcie działań wojennych przerobiono na koszary wojskowe Wehrmachtu. W trakcie którejś tam ofensywy, koszary te uległy zniszczeniu. Zawaliły się budynki, które pogrzebały część ekwipunku wojskowego. Dlatego za każdym razem, gdy ojciec kopał jakiś dół pod drzewko, przeżywałem kolejne fascynacje archeologiczne. Ojciec wykopywał bowiem różne noże, bagnety, łuski, guziki, talerze a raz nawet wykopał pociętą i zardzewiałą szablę wojskową. Najbardziej sensacyjnym, przynajmniej dla mnie, znaleziskiem był bagnet, w stalowej pochwie. Jego drewniana rączka zdążyła przegnić, rdza była na pochwie. Jednak

ostrze mało tego, że lśniło niklem, ale miało na jednej krawędzi coś w rodzaju piły. Jako, że akurat przeżywałem swoje zauroczenie Rambo, bagnet z piłą przypomniał mi czarny nóż Rambo, który też posiadał piłę. No, może trochę inną niż mój, ale w każdym razie zębki były widoczne. Oczywiście tato zawsze chował takie niebezpieczne znaleziska i nie pozwalał się nimi bawić. Mówił, że jak się milicja o tym dowie, to będą nieprzyjemności. Bo to przecież nie są zwykłe noże, ale bagnety wojskowe. Ale groźby milicją nie poskutkowały. Szybko odnalazłem miejsce w warsztacie taty, w którym schował on bagnety i inne wykopaliska. Dałem jeden Tomkowi, oczywiście ten z piłą zachowałem dla siebie.

Którejś zimy, w trakcie ferii, wybrałem się z Tomkiem za stary cmentarz, czyli na tzw. „górkę”. Stał tam taki budynek z czerwonej cegły, także pozostałość ponemiecka, który nazywaliśmy „trupim domkiem”. Nazwa się wzięła stąd, że kiedy grabarze kopali kolejne doły, to wykopywali resztki trumien i kości świętej pamięci Niemców, i wyrzucali to wszystko właśnie do tego domku za cmentarzem. Roiło się w nim od kości, żuchw, czaszek, strzępów ubrań, spróchniałych desek trumiennych, na których były nierzadko resztki okuć. Dla nas była to oczywiście atrakcja. Za każdym razem, gdy kogoś grzebano na cmentarzu, natychmiast urządzaliśmy wypad do „trupiego domku”, żeby sprawdzić co nowego i czy przypadkiem nie ma fajnych okuć. I właśnie tej zimy, tuż po pogrzebie rytualnie szperaliśmy bagnetami w kościach. Nie znaleźliśmy nic ciekawego. Zaczęliśmy się bawić koło tego domku i nagle zauważyłem kawałek zakrwawionej kości, który wystawał z ziemi. Postanowiliśmy sprawdzić co to. Myśleliśmy, że to ktoś zakopał jakiegoś psa, którego teraz lisy odkopały i mu nadgryzły nogę. Oczywiście martwy pies był dla nas wyjątkowo atrakcyjny zwłaszcza, gdy był duży i miał wielkie kły. Z kłów bowiem robiliśmy sobie amulety i wieszaliśmy je na rzemykach. Po wstępnych oględzinach tej ogryzionej do połowy uda nogi wywnioskowaliśmy, że to musi być wyjątkowo duży pies. Natychmiast bagnetami zaczęliśmy ryć dookoła w zamrożonej ziemi. W którymś momencie natrafiłem pod bagnetem jakby na korzeń. Chciałem go przeciąć. Wbiłem całej siły bagnet i zacząłem ciągnąć do góry. Wówczas podniosła się druga noga. Okazało się, że wbiłem bagnet w łydkę i podniosłem do góry jakąś nogę. Sino-szarą, zdrętwiąłą nogę. Spojrzałem na Tomka, Tomek na mnie i zerwaliśmy się do ucieczki. Zatrzymaliśmy się dopiero u mnie w domu. Naradzaliśmy się, co zrobić. Decyzja mogła być tylko jedna: „Adam!”. Poszliśmy po mojego starszego brata. W trójkę wróciliśmy w to miejsce nie tylko z bagnetami, ale ze szpadlem, który zabrał Adam. Zaczął kopać. Ale też nie pokopał długo, bo po pierwszym wbiciu szpadła odkopał damską torebkę. Spojrzeliśmy na siebie i tym razem wrzeszcząc uciekaliśmy do domu. Ojca nie było. Robił w ten dzień jakąś fuchę. Mama w pracy. Nie było do kogo pójść. Tomek powiedział, że jego mama – która była nauczycielką – dzisiaj nie idzie do pracy, że możemy jej powiedzieć. Poszliśmy i opowiedzieliśmy. Ta zadzwoniła na milicję. Długo i niezależnie od siebie przesłuchiwali nas śledczy z MO. Ale żaden z nas, będąc wypytywany w szarej nysce o kulisy odkrycia, nie zdradził tajemnicy posiadania bagnetów. W ogóle słowo bagnet nie padło w trakcie przesłuchania ani z moich ust ani z ust Tomka, z czego długo byliśmy dumni.

Na drugi dzień lokalna gazetka pisała o tym, jak dwójka małych dzieci odkryła zwłoki zamordowanej dziewczyny. Nie chwaliliśmy się, że to my. My nie byliśmy żadnymi małymi dziećmi. Byliśmy dorośli.

Któregoś lata BIZONY nie przyjechały. Zamiast tego pojawiły się spychacze, koparki, ciągniki i barak socjalny. Pegerowskie pole z dnia na dzień zmieniło się w wielki plac budowy. Okazało się, że będą tu budować cmentarz komunalny dla pobliskiego miasta, czyli jak to wówczas nazwaliśmy: „cmentarz dla mieszcuchów”. Inżynierowie i architekci przewidzieli wszystko. To, że ziemia jest gliniasta i nie będzie przepuszczała wody i trupi jad nie zatruje wód podziemnych i to, że jest tu duży obszar, który poszatkowany na małe

działeczki wystarczy na kilkadziesiąt lat. Jednak nie uwzględnili jednej rzeczy, a mianowicie, że wchodzi na nasz teren, na nasze pegerowskie pole, na którym co roku, rytualnie goniliśmy BIZONA. Może inaczej by wszystko wyglądało, gdyby zapytali nas o zgodę. My byśmy odbyli naradę i łaskawie udzieli pozwolenia na zniszczenie naszego pola. Jednak oni nie zapytali, bo o nas nie wiedzieli. Za to my wiedzieliśmy o nich wszystko.

Najpierw podglądaliśmy ich z krzaków. Rejestrowaliśmy każdy krok, każdy ruch spychacza. Mieliśmy rozrysowane trasy przejazdu ciągników. Całkowita inwigilacja. Wiedzieliśmy, że chcemy im przeszkodzić, tylko nie bardzo wiedzieliśmy od czego zacząć. Ale od czego przecież był Adam? Poszliśmy do niego na konsultacje, by opracować strategię ataku. Ten wysłuchał nas uważnie, poczym poszedł z nami na budowę. Razem oglądaliśmy pracowników aż do wieczora. My szepotaliśmy o różnych możliwych scenariuszach, Adam cały czas obserwował. Kiedy pracownicy się rozjechali i teren budowy opustoszał, Adam pierwszy przeszedł przez ogrodzenie. Skierował się od razu do baraku socjalnego. Pogrzebał chwilę przy kłodce, odwrócił się w naszą stronę i przywołał nas machnięciem ręki. Przybiegamy a tu okazuje się, że kłódka otwarta, a Adam z wymalowaną satysfakcją na twarzy zaprasza nas do środka.

Adam, oprócz tego, że jest mistrzem kłamstwa, ma niebywałe zdolności. Nigdy żaden zamek nie mógł mu się oprzeć. Do dzisiaj to ma tyle, że nie interesują go konwencjonalne zamki, ale programy komputerowe. Jeszcze nie słyszałem o takim, którego nie mógłby uruchomić. Nie ma wykształcenia informatycznego, ale kiedy młodszy brat, Piotrek, który jest informatykiem, nie może sobie z czymś zawodowo poradzić, to natychmiast pyta Adama. Dla niego nigdy nie istniały zamki i zabezpieczenia. Nigdy!

Wracając do naszej akcji.

Drzwi stoją otworem. Wpadamy. Najpierw lodówka. W niej były arbuzy, piwo i konserwy. Bierzymy wszystko. Bierzymy też wodę mineralną w butelkach, która stała w baraku. Robimy chaos w planach, które leżały rozłożone na stoliku. Przekładamy je do różnych teczek. Mieszamy je. Opuszczamy barak. Adam znowu grzebie coś przy kłodce i zwiewamy przez płot w krzaki. Jemy nasze łupy wojenne i cieszymy się, że uderzyliśmy w samo serce organizacji, która zabrała nam pole. Po wszystkim poprosiłem Adama by mi zdradził sposób na sforsowanie kłódki. Opowiedział mi wszystko, co i jak zrobić z drucikiem, by kłódka się otworzyła.

Na drugi dzień od rana siedzieliśmy w krzakach i obserwowaliśmy, jakie będą skutki naszej dywersji. Panowie weszli do baraku, po chwili wyszli i sprawdzali kłódkę i okna. Pokrzyczeli coś na siebie i wzięli się do roboty. Znowu ruszyły spychacze i ciągniki. Widocznie uznali, że to jeden drugiemu wyjadł zapasy. Nie podejrzewali dywersji. Była to nasz porażka. Ale nie zraziliśmy się nią. Przeciwnie. Byliśmy jeszcze bardziej zdeterminowani. Postanowiliśmy się zakolegować z robotnikami, by ich z bliska wy badać. Poszliśmy do mnie po piłkę i wróciliśmy. Zaczęliśmy się nią bawić tuż obok płotu. Robotnicy nas zauważyli i zaczęli wołać nas do siebie i proponować, żebyśmy razem zagrali. Żaden z nich ani przez chwilę się nie zastanowił, dlaczego dzieci akurat tu, na byłym polu, w wysokich do kolan chwastach kopią piłkę. Przecież piłki najlepiej kopie się na ubitej ziemi lub asfalcie. Odnieśliśmy kolejny sukces. To była nasza druga, tym razem legalna inwigilacja obozu wroga.

Pograliśmy jakieś pół godziny. Ja stałem na bramce, Tomek kiwał. Był lepszy ode mnie w nogę. Wpuszczałem wszystkie gole, chociaż nikt nie kopał mocno. Byłem pochłonięty rolą szpiega. Kiedy skończył się mecz, zapytałem jednego pana:

- Czy przewiózłby mnie pan tą koparką?

Nieświadomy niczego gość się zgodził i po chwili siedziałem w kabinie koparki „BIAŁORUŚ”, takiej co ma łyżkę z tyłu i spychacz z przodu. Uważnie obserwowałem jak pan odpala maszynę. Grzebał najpierw coś pod kokpitem a następnie nacisnął na duży,

czerwony guzik. Tą samą procedurę powtórzyłem o zmierzchu, gdy wkradliśmy się na budowę. Odpaliłem koparkę. Jesteśmy zadowoleni. Kolejny sukces, lecz z małym zastrzeżeniem. Nie wiedziałem jak ją wyłączyć, nie wspominając o jeździe, gdy z przodu i z tyłu pełno przekładni. Znałem wówczas tylko jeden sposób na unieruchomienie pojazdu – wyrwanie wężyka z paliwem. Wężyk widziałem w motorze ojca i wiedziałem, że on zakręca kranik, gdy wyłącza motor. Wnioskując przez analogię wyszarpnąłem wężyk paliwowy w koparce. Z bezpiecznej odległości obserwowaliśmy jak maszyna powoli gaśnie. O tym, że wylało się całe paliwo dowiedzieliśmy się na drugi dzień, gdy ponownie zjawiliśmy się na budowie, by zagrać z robotnikami w piłkę. Klełi jeden na drugiego, że wężyk pękł, zwalając na siebie winę. Okazało się, że nie wyrwałem w ogóle wężyka, ale go rozerwałem. Kolejny sukces w walce z najeźdźcą.

Jeszcze długo sabotowaliśmy budowę. To spuszczać powietrze z opon ciągników, to demolując barak. Nie powstrzymaliśmy jej jednak. Wkrótce otwarto nowy cmentarz komunalny, który bardzo szybko zaczął zapełniać się grobami.

Dorastaliśmy. Skończyła się szkoła podstawowa i nasze drogi zaczęły się pomału rozchodzić. Kończyła się także nasza przyjaźń. Ale musiało upłynąć prawie dziesięć lat, zanim runęła ona w gruzach.

Tomek wybrał jakieś technikum samochodowe, ja liceum. Uczyliśmy się w różnych miastach. Tomek w większym, w mieście wojewódzkim. Tam poznał nowych kolegów. Dalej jednak się odwiedzaliśmy po szkole. Przeważnie to ja przychodziłem do niego. Ostatnią wielką naszą przygodą było odkopanie starej piwnicy, która ocalała w stanie nienaruszonym po zniszczonym na skutek działań wojennych domu. Wkrótce po tym odkryciu Tomek zaczął się dziwnie ubierać. Ciasne spodnie, wysokie wojskowe buty, skórzane kurtki z nabitymi ćwiekami, pentagram na koszulce i na szyi. Stał się członkiem egzotycznej dla mnie subkultury. Oczywiście spotykałem takich ludzi w liceum, w którym się uczyłem, ale oni nigdy nie dopuszczali do siebie nikogo. Zawsze stanowili hermetyczne grono. Plotkowano o nich, że piją wino, biorą narkotyki, że słuchają dziwnej muzyki.

W narkotyczny świat haszyszu wprowadził mnie Tomek. To od niego dowiedziałem się najpierw, że takie coś jak haszysz istnieje. Nigdy wcześniej nie widziałem narkotyków na oczy. Zresztą w moim liceum o narkotykach czasami ktoś mówił, ale nie sposób było znaleźć dealera. Zresztą takie pojęcie wówczas nie istniało.

Pewnego razu, gdy po szkole wpadłem do Tomka ten otworzył mi z zaczerwienionymi oczami i śmiał się cały czas, gdy mu coś opowiadałem. Dopiero po chwili wyciągnął woreczek z grubym, zielonobrunatnym paskiem, podzielonym na równe kawałeczki. Spojrzał na mnie i zapytał:

- Czy wiesz co to jest?

Zacząłem się przyglądać i odpowiedziałem, że nie. Na co on odparł:

- To jest haszysz.

Następnie wyciągnął pasek z woreczka i zaczął go odrapywać żyłką. Zielonkawy proszek sypał się na białą kartkę. Kiedy było go wystarczająco dużo, przynajmniej w ocenie Tomka, pasek powędrował z powrotem do torebki. Tomek wyjaśnił, że ktoś mu to dał, żeby on rozprowadził. Ale jak on sobie trochę odskrobie, to przecież i tak nikt się nie zorientuje. Później wyjął papierosa. Wydłubał z niego filtr i w to miejsce ubił zielonkawy proszek. Podpalił zaciągnął się i podał mi. Ja też się zaciągnąłem z ciekawości. Chyba każdy próbuje pierwszy raz narkotyk z ciekawości. Zrobiłem tak, jak to się robi z normalnym papierosem. Ale Tomek mnie pouczył, że należy się mocniej zaciągać i przetrzymywać dym w płucach. No to tak się zaciągałem. Wkrótce poczułem ból w piersiach, tak jakbym spalił sobie płuca.

Zacząłem kaszleć, ale zrobiło mi się też dziwnie miło. Tomek, kulając się ze śmiechu po łóżku mówił do mnie:

- Ale masz fazę. Ale się zbakałeś.

Śmialiśmy się razem. Naprawdę było wesoło i nawet przyjemnie, gdyby nie ten ból w piersiach.

Łatwo się domyśleć, że Tomek nie sprzedawał ani grama z towaru. Wszystko spalił sam i przez to wpadł w kłopoty i to nie na żarty. Kiedy jakiś czas po tym zdarzeniu go odwiedziłem otworzył drzwi. Na twarzy zamiast uśmiechu miał rysy od żyłki. Podłużne cienkie rany na twarzy. Zapytałem, co mu się stało. Odpowiedział:

- Zrobili mi zeszyt na twarzy. Następnym razem zrobią w kratkę, jak im nie oddam ... – i tu wymienił jakąś astronomiczną kwotę.

Nie pamiętam jak, ale wybrnął jakoś z tego. Ale to był dopiero początek prawdziwych problemów. Tomek nie tylko intensywnie palił, pił, wagarował, zmieniał szkoły. Tomek odkrył misterium heroiny, a ja pierwszy raz na własne oczy widziałem jak człowiek wstrzykuje sobie brunatną ciecz do żyły. Pierwszy raz w życiu widziałem jak wówczas reaguje. Tomek rzygał. Spędzał całe kwadransy u mnie w kiblu. Nawet mama to zauważyła, chociaż nigdy jej nie powiedziałem dlaczego Tomek wymiotuje. Mogłem się tylko przyglądać, jak się niszczył. Oczywiście, że mówiłem mu: „Chłopie weź się w garść!”, tylko takie pogaduszki nigdy nic nie dają. Żadne kazanie nie nawróciło narkomana. Tomek w pewnym momencie znalazł się na najczarniejszym dnie. Pił, palił i ćpał naraz. Gdzie byli jego rodzice? Rodzice byli gdzieś tam, osobno w ławach sądowych, bo własni się rozwodzili. Nie mieli czasu dla syna. Gdzie byłem ja? Byłem cały czas w tym samym miejscu, do którego znał drogę od dziecka. Tylko jego przyjaciółką była wówczas heroina.

Przychodził do mnie czasami na obiady.

Któregoś razu ćpanie się skończyło. Tomek wylądował na odwyku, w zamkniętym szpitalu. Od tamtej pory nie dawał już w żyłę, ale palił od czasu do czasu. Mi palenie nie przypadło do gustu. Za bardzo mnie bolały płuca za pierwszym razem. To mnie skutecznie powstrzymało przed kolejnymi próbami.

W drugą swoją podróż w świat narkotycznych urojeń także wybrałem się z Tomkiem w roli przewodnika. Podobnie jak z haszyszem: odwiedzam go a ten wita mnie uchachany. Pytam:

- Brałeś coś?

- Nie, przecież wiesz, że jestem czysty.

Sprawdzam żyły. Nie kłamał. Nie brał dożylnie. Nie było też charakterystycznego zapachu haszyszu w pokoju. Kiedy zapytałem co mu jest, ten śmiejąc się i bełkocąc, podszedł do szuflady biurka i wyjął z niej małe, cienkie, szare grzyby. Odliczył czterdzieści sztuk i poczęstował mnie. Zjadłem też z ciekawości. Mówię:

- No i co? No i co? Nic mi nie jest.

- Poczekaj, zaraz będziesz miał bombę.

- No ale mi nic nie jest, nic nie jest, nic nie jest, nic nie jest, nic nie jest, nic nie jest... – odpowiadałem i dopiero po chwili zorientowałem się, że powtarzam w nieskończoność „nic nie jest”. Wpadłem w jakiś rodzaj hura- optymizmu. Świat falował, nic mnie nie bolało. W dodatku nie potrafiłem opanować śmiechu. Jedyne co mnie niepokoiło, to to, że czas płynął bardzo wolno. Zresztą uświadomił mi to też Tomek. Powiedział:

- A teraz patrz na zegar. Widzisz, która godzina?

- No.

- Zobaczysz, że czas stoi w miejscu. Grzyby zatrzymują wszystkie zegary.

I znowu wpadliśmy w niekontrolowany śmiech. Gadaliśmy później, jak mi się wydawało z dobą godzinę. W końcu Tomek powiedział:

- Patrz na zegar. Patrz

Okazało się, że minęło raptem kilka minut. Przestraszyłem się trochę, ale jednocześnie pomyślałem, że skoro można rozkazywać zegarom, to można też wydawać polecenie ścianom. Zaczęliśmy rozmawiać ze ścianą w pokoju Tomka. To był chyba najdłuższy w historii ludzkości monolog do ściany na dwa głosy.

Grzyby nie były egzotycznym narkotykiem, który przywiózł Tomek z wojewódzkiego miasta na wieś. Grzyby bowiem rosły i rosną do tej pory tuż pod naszymi nosami. Były tam cały czas, tylko Tomek się pierwszy o nich dowiedział. Kiedy je zobaczyłem pierwszy raz i później wybrałem się na łąkę, natychmiast je rozpoznałem. Nazbierałem sobie. Nawet zrobiłem mały zapas – wysuszyłem. I samodzielnie robiłem wypadki do krainy id. Zlekceważyłem przestrożę Tomka, która brzmiała: „Uważaj, żebyś nie załapał doła!”. Skąd mogłem wiedzieć, co to znaczy: „załapać doła”? Ale wkrótce przekonałem się o narkotycznym dole i to tak skutecznie, że kiedy doszedłem do siebie obiecałem sobie, że nigdy więcej grzybów nie wezmę. Było to makabryczne przeżycie. Modliłem się, żeby się ono jak najprędzej skończyło. Mierzyłem się z samym sobą, ze swoimi demonami i to wszystko trwało wieki, bo grzyby zatrzymują wszystkie zegary.

Mijały kolejne lata. Poszedłem na studia, Tomek zmieniał kolejną szkołę średnią. Gdy broniłem pracę magisterską, Tomek kończył ostatnią klasę trzyletniej szkoły zawodowej. Widywaliśmy się od czasu do czasu. Rzadko ale zawsze serdecznie i z takim samym entuzjazmem.

Pewnego dnia Tomek zdecydował, że będzie robił biznes. Przyjechał do mnie jakąś rozklekotaną furgonetką, by się pochwalić, że właśnie jest biznesmenem i zajmuje się sprzedażą drzewek ozdobnych, różnych iglaków i w ogół. Staliśmy przy płocie, bo się spieszył. On był z kolegą. Staliśmy tak i rozmawialiśmy, a moja mama w tym czasie krzątała się przy młodych, pięcioletnich jałowcach kolumnowych, które sama naszczepiła i wyhodowała od małej gałązki. Posadziła je tuż przy płocie, żeby były naturalnym żywopłotem. Tomek zobaczył moją mamę i powiedział ładnie „dzień dobry”. Moja mama z uśmiechem odpowiedziała. Lubiła Tomka, znała go przecież tak długo jak ja. Tomek dodał:

- Ale ładne ma pani te drzewka.

Jeszcze tej samej nocy z czterdziestu siedmiu jałowców, znikło czterdzieści. Trzy noce później reszta.

Mimo, że nie złapałem złodzieja na gorącym uczynku, to wiem, że był nim Tomek. Od tamtej pory się już nie spotkaliśmy. Nawet, gdy jeszcze kiedyś go spotkam, to i tak nie będzie on już moim przyjacielem. Mógłbym wybaczyć mu to, że mnie okradł, ale łez matki nie wybacza się nigdy.

9.

Pierwszą książką, którą sam przeczytałem, była „Kołysanka dla Marczyka”. Taka krótka opowiadanka, o chłopcu, który nie mógł zasnąć i przychodziły do niego różne zwierzęta. Ich misja była prosta: sprawić by chłopiec w końcu zasnął. Wśród nich był między innymi konik, kot i sarenka. Z tego, co pamiętam, to żadnemu z nich nie udało się ułożyć do snu głównego bohatera. Same zasypiały i to w jego łóżku. Dopiero, gdy wszystkie zwierzęta zasnęły, usnął też Marek na dywaniku przed łóżkiem.

Zapamiętałem tę bajkę dlatego, bo dziwiłem się jak koń czy sarenka mogą się zmieścić w łóżku. Często widziałem konie u dziadków, a sarny na polu i zdawałem sobie sprawę z gabarytów tych zwierząt. Oczywiście pytałem mamę, jak to jest możliwe. Ta mi odpowiedziała:

- To przecież bajka.

Dlatego stosunkowo szybko dowiedziałem się o różnicy między tym, co w książce a tym, co dookoła mnie. Nie zniechęciło mnie to jednak od dalszej eksploracji literatury.

Kultury czytania nauczyła mnie mama. To ona podsuwała mi na początku bajki później książki. Od niej dowiedziałem się o Tomku Wilmowskim. I tak rozpoczęła się moja przygoda z Bosmanem, Smugą i Tomkiem i jego dzikim psem Dingo. Wędrowaliśmy razem od Syberii, przez Afrykę, obie Ameryki i Egipt aż do Australii. Nigdy nie zastanawiałem się, dlaczego ojciec Tomka znalazł się na Syberii. Polityka w ogóle mnie nie interesowała, chociaż spotykałem się z nią w każdy poniedziałek, gdy biegałem po kolejny numer „Żołnierza Polskiego”.

Równolegle zainteresowałem się komiksami. Do dzisiaj je uwielbiam. Czasami nawet w żartach mówię: „Cała moja wiedza o świecie zewnętrznym pochodzi z komiksów”. Czytałem je i zbierałem. Pierwszym moim nabytkiem nie był ani „Kajko i Kokosz”, ani Tytusy, tylko jedna z części serii przygód Ais, Zana i Enocha. To był świetnie narysowany polski komiks, w oparciu o tezy Ericha von Daeenika, który dowodził, że początek cywilizacji na ziemi ma rodowód kosmiczny. Innymi słowy: przyleciało UFO (czyli w tym komiksie wysłannicy z DES, z polecenia Wielkiego Mózgu) i dali początek rodzajowi ludzkiemu. Oczywiście w komiksie był też szwarzcharakter: Sathan. Jeden z autorów tego komiksu później narysował kultowego „Funky Kowala”, którym się długo zachwycałem. Później pojawił się Thorgal, któremu teść wyrznął bliznę na policzku i tak mu zostało do końca. Pewnego razu, kiedy wpadła mi w ręce historyjka z Alinoe, bałem się i to nie na żarty. Pamiętam, że długo straszaliśmy się z Adamem wieczorami:

- Alinoe idzie! – albo – Nie odwracaj się! Alinoe jest za plecami!

Jednak „Władcy gór” nie rozumiałem do dziś. Z chęcią dowiedziałbym się, kim jest ten gość, który jako pierwszy ginie pod lawiną z pierścieniem na palcu. Czy jest to Toric? Nigdy tego nie rozszyfrowałem.

Czytałem i w miarę swoich finansowych możliwości kupowałem wszystkie komiksy, które czasami pojawiały się w naszym kiosku i księgarni. Jasne, że czekało się na Thorgale, ale brało się dosłownie wszystko.

Pierwsze swoje komiksowe rozczarowanie przeżyłem, gdy kupiłem którąś z części przygód Kajka i Kokosza. Była to chyba „Rozprawa z Dajmiechem” albo „Szranki i konkury” (dokładnie nie pamiętam, a nie chce mi się szperać w kartonach). W ramach wydawniczych oszczędności wydrukowano ten komiks tak, że co druga strona była żółta, bez kolorowych obrazków. Zwykle kontury postaci i dialogi w chmurkach. Dla mnie komiks musiał być pokolorowany. Dlatego kiedy ojciec kupił nam w prezencie Szninkla niezbyt się ucieszyłem. Gruba, ponad stustronicowa książka, wydana w Orbicie, w której kolorowa była tylko okładka. Z dużą niechęcią wzięłem Szninkla do ręki. Nie miałem wówczas bladego pojęcia o tym, że będzie to jeden z najlepszych komiksów jakie w życiu przeczytam. No i się zaczęło.

Po pierwsze: scena wojennej masakry, armii dwupłciowców, amazonek, i Bar-Finda. Później duży czarny prostokąt, który przedstawia się jako „ON”, rozmawiający z Jonem. Dalej wędrówka, Tawal Bom-Bom i... i wreszcie Volga Jasnowidząca.

Ech, ta Volga. Volga, Volga, Volga. Miała on dziwną metodologię odkrywania zdarzeń przyszłych. A mianowicie wizja następowała w chwili orgazmu. Kiedy Jon udał się do niej po poradę, ta przemieniła go w solidnego afrykanera, siebie w kobietę. Za kolejne sceny, które pojawiły się zaraz po tej przemianie, chciałbym w tym miejscu podziękować Rosińskiemu. Ale nie tylko za te. Także scena z Gwel w Nieświecie robi do dziś niesamowite wrażenie.

Od tamtej pory Szninkiel był dla nas – dla mnie i Adama – biblią. Bynajmniej nie dlatego, że jego scenariusz Van Hamme napisał w oparciu o historię Jezusa. Regularnie odwiedzaliśmy strony z Volgą i Nieświatem. Tak intensywnie, z wypiekami na twarzach studiowaliśmy Szninkla, że wkrótce poluzowały się w nim kartki i po niedługim czasie zostały z niego strzępy.

Dzisiaj ówczesna fascynacja Szninklem może wydawać się niezrozumiała. Warto wiedzieć, że erotyka i nagość nie były wówczas tak powszechne jak dziś. Normalność reklam, w których roi się od kobiecych pośladków, piersi, wydętych ust, w czasach raczkującej demokracji była czymś egzotycznym. Wszystkie filmy, które leciały w telewizji po dzienniku oglądaliśmy tylko za pozwoleniem rodziców. A kiedy tylko pojawiały się w nich sceny intymne, natychmiast padało polecenie:

- Odwróćcie się.

A kiedy tzw. sceny łóżkowe się przeciągały rodzice mówili:

- To nie dla was. Idźcie spać.

Oczywiście nie chodziliśmy spać, tylko po cichu zakradaliśmy się i podglądaliśmy te sceny. Te bardziej śmiałe były na drugi dzień często komentowane w szkole. Jedną z większych polemik wywołał film „Ostatni seans filmowy”. Ten film widziałem w całości i bez konieczności odwracania głowy. Miałem to szczęście, że rodzice wyszli na jakąś imprezę, zostawiając nas samych w domu. Kiedy tak się działo, tłukliśmy wszystkie filmy, aż do końca.

Łatwo sobie teraz wyobrazić, że z powodu deficytu źródeł, fascynacja erotyką dojrzewających chłopców, musiała odbić się na czarno-białym Szninklu.

Innym ważnym materiałem empirycznym, z którego czerpaliśmy inspiracje i wspomagaliśmy wyobraźnię były dwie książki, które odkryliśmy w bibliotece rodziców. Któregoś razu znalazły się tam dwie pozycje: „Sztuka kochania” Wisłockiej i „Seks partnerski” Lwa-Starowicza. Ile to czasu spędziłem nad tymi scenkami, w których naszkicowane były kontury zaledwie postaci. Ile kalorii spaliłem.

Książki te, w przeciwieństwie do Szninkla, wytrzymały nasze próby oraz próbę czasu. W jednym kawałku, chociaż podniszczone przetrwały do dziś. I chyba dwa lata temu, kiedy rozmawialiśmy przy jakiejś okazji o edukacji seksualnej w szkole, pojawił się temat roli rodziców w osiąganiu świadomości seksualnej dzieci. Ojciec powiedział wówczas:

- My kupiliśmy wam Wisłocką i Starowicza. Nie musieliśmy nic mówić ani uświadamiać.

Gdybyśmy wiedzieli wówczas, że kupili je dla nas, to nie krylibyśmy się z nimi pod kołdrami w świetle latarek i nie dbalibyśmy tak o nie, w obawie, że rodzice się zorientują, że je czytamy. Z pewnością podzieliłyby one los Szninkla.

Moja druga przygoda ze Szninklem miała miejsce cztery lata temu, gdy przeflancowałem się ze wsi do dużego miasta. Odkryłem na jego rynku księgarnię a w niej półkę z komiksami. Roiło się na niej od tytułów. Moją uwagę przykuł właśnie Szninkiel. Nowa, kilku odcinkowa edycja, tym razem kolorowa. Przejrzałem. Nie podobał mi się nic a nic. Nie ma to, jak stary, czarno-biały komiks z Orbity, z którym straciłem dziewictwo.

Ale nie tylko Szpinkiel zrobił na mnie wrażenie. Był też Rork, który podróżował między wymiarami i bił się z plamą z kosmosu. Jednak jeżeli chodzi o komiksy s-f, żaden nie może mierzyć się ze wspomnianym Funky Kowalem. Pierwsza część super-sensacyjna i moim zdaniem najciekawsza. To w niej pojawia się Rhotax i to bynajmniej nie w ostatnich scenach. Najemnik ten, który jak się okazało w części trzeciej więzi ciało prawdziwego Kowala w swojej twierdzy, pojawia się – co do dziś pamiętam – już na szesnastej stronie pierwszego tomiku przygód. Jest tam taka scenka: gość z taksówki łapie w kadr aparatu fotograficznego Funkyego, po to by go obezwładnić. Oczywiście aparat nie jest zwykłym aparatem, ale wyrzutnią usypiających pocisków. I właśnie w tej scenie, na ścianie kina, z którego Koval wychodził, jest namalowany list gończy. Na nim jest Rhotax. Nie od razu to dostrzegłem. Zacząłem uważnie śledzić wszystkie rysunki po tym, gdy dokładnie przyjrzałem się narysowanemu pokojowi, w którym mieszkał główny bohater opowieści. Na stole, wśród książek pojawiają się pozycje Lema i Dicka oraz paczka papierosów marki Kent. I tak oto, zainspirowany znaleziskiem, zacząłem dokładnie studiować komiks i odkryłem Rhotaxa.

Wracając do książek w ogóle.

Zawsze podobały mi się powieści przygodowe. Zresztą jako mały chłopiec z nich czerpałem natchnienia dla wymyślania kolejnych zabaw. I tak na przykład po przeczytaniu Curwooda, trzech części „łowców”, przeżyłem swój życiowy epizod jako poszukiwacz złota. Nie miałem rzeki pod domem, ale od czego był stawek na basenie? Tam odbywał się cały ceremoniał przepłukiwania piasku. Oczywiście prawdziwy poszukiwacz złota musi pożywiać się suszonym mięsem. Z kolejnego świniobicia podkrałem solidny kawałek chudego mięsa i powiesiłem na drzewie, żeby wysechł. Co dziennie sprawdzałem czy się wysuszyło i czy nadaje się do jedzenia. Mięsa nie porwały żadne dzikie zwierzęta, ani nawet ptaki, bo dobrze je ukryłem. Wisiało ono tak do wiosny i kiedy ustały mrozy ono się zepsuło. Zwyczajnie zgniło na sznurku i strasznie śmierdziało.

Lubiłem także encyklopedie. Jednak kupienie w okresie PRL-u encyklopedii w naszej księgarni graniczyło z cudem. Trzeba było się zapisywać, jakaś subskrypcja i te sprawy, no i była strasznie droga. Jednak moja ciocia miała jednotomową encyklopedię biologiczną. Od niej pożyczałem ją na tydzień, później odnosiłem i znowu pożyczałem. Było w niej tyle ciekawych informacji. Tyle się można było ciekawych rzeczy dowiedzieć. Skutek był taki, że na lekcjach biologii w ostatnich klasach szkoły podstawowej wiedziałem więcej niż inni. No i wówczas pani od biologii wymyśliła sobie, że skoro tak dużo wiem o biologii, to pewnie się interesuję to nauką i zgłosiła mnie do jakiegoś konkursu międzyszkolnego. Dała mi jakieś testy, żebym się uczył na pamięć. Nie wiedziała, że nie cierpię się uczyć i że moja wiedza biologiczna ma źródło nie w zamięłowaniu do biologii jako takiej, ale z zamięłowania do encyklopedii. Łatwo się domyśleć, że nie zakwalifikowałem się do finału, chociaż zdobyłem ileś tam punktów. Pani się wściekła, że się dobrze nie nauczyłem. Ale ja miałem to gdzieś. Wówczas byłem na etapie studiowania pierwszej encyklopedii, którą sam kupiłem. Był to suplement – 6 tom – encyklopedii PWN-u, w takiej miodowej okładce.

W pewnym sensie moja fileolectore przesądziła o dalszych losach. Ale to inna historia.

10.

Teraz o braciach.

Mam ten przywilej, że jestem średnim. Między trzy a dwa, jestem z 1977 roku. Skąd ten przywilej? Adam może być dzieckiem miłości, ale może też być dziełem przypadku, chwilowego zapomnienia się kochanków. Piotr może być także przypadkiem, właściwie to nim jest. Rodzice wymarzyli sobie dziewczynkę, a tu taka niespodzianka. Ja natomiast, jako średni syn mam absolutną pewność, że byłem dzieckiem zaplanowanym. Ktoś, kto chce doliczyć się do trzech, musi tak czy siak uwzględnić w rachunku cyfrę dwa.

W sumie, to nie zazdrozczę Adamowi. On, jako najstarszy odpowiadał głową za nasze podrapane kolana. Oczywiście wyolbrzymiam sprawę, ale było tak, że kiedy ruszaliśmy na kolejny podbój okolicy, rodzice mówili:

- Adam, uważaj na nich.

No i oczywiście Adam z pełnym poświęceniem uważał. Musiało to być dla niego w pewnym sensie upierdliwe, to nieustanne pilnowanie młodszych braci.

Któregoś razu Adam zawiódł na całym froncie. Wybraliśmy się do lasu. W lesie jak to w lesie, dużo się dzieje. Jest też dużo patyków, z których wybieraliśmy sobie te najładniejsze na włócznie czy maczugi. Upatrzyłem sobie taki jeden prosty i gruby. Torowałem nim sobie drogę, przez gęste zagajniki, obłamując wyschnięte gałązki sosen. I tak przedostaliśmy się na polanę. To nie była typowa polana, porośnięta zieloną trawką, na której hasają sobie beztrąsko sarenki. Przypomniała ona raczej kawałek pustyni, porośnięty kepkami suchych traw, w środku lasu. Wpadałem na pomysł nowej zabawy. Adam miał mi rzucać małe otoczaki, których tu było zatrzęsienie, ja natomiast swoją maczugą miałem je odbijać. Adam się zgodził. Rzucił pierwszy kamień. Chybiłem. Rzucił drugi i też chybiłem. W końcu powiedziałem mu, że za szybko rzuca i poprosiłem, żeby rzucił wysoko, do góry i w moim kierunku. Wówczas kamień będzie wolno spadał, a ja na pewno go trafię. Zażądałem także większego kamienia, bo te, której do tej pory posyłał były stanowczo za małe, bym mógł w nie trafić. Adam schylił się i wybrał jeden z większych kamieni. Podniósł do góry, pokazując mi go i zawołał:

- Może być?

- Nie, za mały weź większego – odpowiedziałem mu. Ten jednak się uparł, że na początek taki wystarczy i rzucił go wysoko do góry, w moim kierunku. Podniosłem maczugę, przyjmując bojową postawę La poste di falcone i spoglądałem na zbliżający się kamień, który leciał prosto na mnie. Zamachnąłem się i bum! Kamień wylądował na mojej głowie. Przewróciłem się. Kiedy Adam podbiegł, spojrzał na mnie i powiedział:

- Weź nic nie mów rodzicom. Proszę!

Piotr też zaczął mnie oglądać z zaciekawieniem. Miałem nie tyle solidnego guza, ale kamień rozciął skórę i z rany ciekła mi strużką krew po czole. Oczywiście wpadliśmy w panikę. Wiedzieliśmy, że efektów naszej zabawy nie ukryjemy przed rodzicami, a ci w obawie, że się pozabijamy mogą nas na tydzień uziemić w domu, tak za karę. Zaczęliśmy wymyślać, co powiemy w domu. Jak wytłumaczymy krew we włosach i wielkiego guza? Szybko ułożyliśmy sobie jakiś mało wiarygodny scenariusz i wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Kiedy przechodziliśmy tuż obok basenu, Adam wpadł na pomysł, żeby umyć trochę głowę z krwi w stawie, który na nim był. Tak, żeby było mniej widać. Poszliśmy we trójkę na basen. Zacząłem myć głowę, Adam w tym czasie rzucał nerwowo kamienie do wody. Chłopak był w większym stresie niż ja. Mimo iż pomysł zabawy z kamieniem był mojego autorstwa, i ja ponosiłem odpowiedzialność za wszelkie konsekwencje, które z niego wynikły, to jednak Adam w tej historii był tym, który rzucił kamieniem. Zatem wina spadała na niego.

No i tak myję sobie głowę, myję aż tu nagle słyszę wrzask małego Piotrka. Oglądam się i widzę, jak młodszy brat klęczy na ziemi, trzyma się za tył głowy a do niego biegnie Adam.

Okazało się, że Adam, poszukując kolejnego kamienia, który mógłby rzucić do stawu, znalazł kawałek żelbetonu, z którego wystawał drut. Chcąc rzucić na środek, by był jak największy plusk, złapał za drut zamachnął się i drut się urwał, a kamień poleciał do tyłu, lądując na potylicy Piotra. Rozciął mu tak skórę, że mój pęknięty guz, to był pryszcz.

Opanowaliśmy krwotok i płacz Piotrka, ale dwie rozcięte głowy i to w jednym dniu, nie mogły ujść Adamowi na sucho. Wiedział o tym nie tylko on, ale i my. Dlatego postanowiliśmy poczekać z powrotem do domu do godziny szesnastej, do powrotu mamy. Wizja konfrontacji z samym ojcem, została przez nas jednogłośnie odrzucona. Czekaliśmy, czekaliśmy. W pewnym momencie Adam wpadł na pomysł, że pójdzie do domu i weźmie dwie czapki. Namoczymy je w zimnej wodzie i założymy sobie na głowy, żeby rany nie były tak mocno opuchnięte. Pobiegnął i przyniósł. Co chwile od nowa moczył je w stawie, wykręcał i zakładał nam na głowy. Pielęgnował nas do szesnastej, kiedy to zbieraliśmy się w drogę powrotną do domu. Wracając przysięgaliśmy, że nie wydamy Adama. Ja miałem powiedzieć, że się przewróciłem do przodu, Piotrek, że przewrócił się do tyłu.

Tuż przy płocie ojciec zawołał do nas z podwórka:

- Co? Tak zimno wam? Po co wam te czapki?

Faktycznie, czapki na głowie w okolicach maja mogły dziwić. Na szczęście pojawiła się mama i to ona nas wybawiła. Pierwszy został opatrzony Piotr, później ja. Rodzice bardzo zaciekawieni naszymi nagłymi kontuzjami zaczęli się dopytywać o ich przyczynę. Łgaliśmy, tak jak to wcześniej było ustalone. To musiały być tak nieudane historyjki, że w końcu zapytali się Adama. No i ten powiedział jak było. O dziwo, nie dostał lania, którego wszyscy się obawialiśmy, ale pochwałę, że powiedział prawdę i że na całe szczęście nic się nie stało i żeby to się już więcej nie powtórzyło.

Cała historia zakończyła się pochwałą prawdomówności i dwiema bliznami na całe życie. Po jednej u mnie i u Piotra. Nagradzanie Adama pochwałą za mówienia prawdy, całej prawdy i tylko prawdy nigdy nie odniosło skutku. Przecież on był i jest do dziś mistrzem kłamstwa. Ale historię łgarstwa może kiedyś opowie sam. Chociaż ja nie uwierzę w ani jedno jej słowo. Pisałem także o niebywałym talencie Adama, któremu żaden zamek czy inne zamknięcie nie zdołało się oprzeć. O perypetiach z tym związanych też pewnie sam opowie i też radziłbym w to nie wierzyć. Ale nie pisałem jeszcze o kardynalnej słabości starszego brata, a mianowicie o uwielbieniu, jakim darzył wszelkiego rodzaju słodycze.

Normalny człowiek posiada jakiś tam limit jednorazowej absorpcji czekolady czy innych słodyczy. Adam takiego nigdy nie miał. Pewien incydent z tym związany stał się już legendą rodzinną. Otóż mama ma koleżankę, której cała rodzina mieszka w Szwecji. W czasach PRL-u, ten, kto miał rodzinę za granicą, miał słodycze. I tak też było w przypadku pani Edyty. Czasami, kiedy rodzice jechali do niej z wizytą, to nas ze sobą zabierali. U pani Edyty pierwszy raz zobaczyłem jak się skleja modele statków i jak wygląda komputer, który miał jej syn. Pewnego razu pani Edyta postanowiła, że nakarmi Adama słodyczami. Naiwnie wierzyła w to, że to właśnie jej uda się odkryć górny pułap możliwości mojego starszego brata. Postawiła nam pierwszą miskę z cukierkami. Takimi dobrymi, z czekolady. Cukierki pochłonęliśmy w kilkanaście minut. Oczywiście na tym etapie wraz z Piotrkiem dzielnie sekundowaliśmy Adamowi. Cukierki się skończyły, pani Edyta ponownie napełniła miskę. Te Adam zjadł już sam. To samo zrobił z kolejną porcją. Kiedy mieliśmy wracać do domu zapytał:

- Czy ma pani jeszcze cukierki?

Kolejny pokaz swoich możliwości dał Adam kilkanaście lat później. Skończył szkołę i poszedł do pracy. Już pierwszego dnia w pracy uprzedzał, że za całą wypłatę kupi sobie czekolady, bo się chce jej w końcu najeść. No i kupił. Kilkadziesiąt czekolad zjadł w trzy dni. Był o tyle wspaniałomyślny, że poczęstował domowników kilkoma kostkami. Resztę pochłonął sam.

Łatwo sobie wyobrazić, że w okresie PRL-owskiego kryzysu, jego słabość do słodyczy czasami kolidowała z planami świątecznymi rodziców. Jak wspomniałem, z przysyłanych przez ciocię z Berlina paczek odkładali oni dla nas zawsze coś na paczki pod choinkę. Ukrywali to skrzętnie w swoich szafach czy w wersalce, która stała w stołowym pokoju. To w niej, jak się okazało, były ukryte najlepsze frykasy. Dodać należy, że wersalka owa była tak dziwnie skonstruowana, że tylko ojciec potrafił ją obsługiwać. Przynajmniej tak wszyscy, włącznie z ojcem uważali, bo Adam nie ujawnił jeszcze swojego unikalnego daru forsowania zabezpieczeń.

To był grudzień. Na dworze śnieg, w domu atmosfera świąt i nasze niecierpliwe oczekiwanie na paczki. W wigilię rodzice jak zwykle zamknęli się w stołowym pokoju, aby przygotować prezenty. Pierwszy wyszedł ojciec, za nim mama z ładnie opakowanymi czekoladami w dłoni. Od razu zaczęli przesłuchanie od Adama:

- Zjadłeś. Przyznaj się.
- Nie zjadłem. Naprawdę.
- Wiemy, że to ty.
- To nie ja, naprawdę.

I pewnie przesłuchanie prowadzone w ten sposób trwałoby wieczność, gdyby nie argument ojca. Powiedział on:

- Jak powiesz prawdę, to nie dostaniesz lania.
- Naprawdę? – zapytał Adam. Kiedy ojciec potwierdził, Adam odparł:
- Zjadłem.

To były pierwsze i ostatnie święta naszego dzieciństwa, które spędziliśmy bez paczek pod choinką. Adam dostał za to wszystkie opakowania. Rodzice mu je dali, chcąc prawdopodobnie wywołać u sprawcy wyrzuty sumienia. Dla mnie opakowania także miały wartość, zatem wyděbiłem je od brata i handlowałem nimi w szkole.

Były jednak chwile, w których Adam solidarnie dzielił się z nami swoim łupem czekoladowym. Jako wnuki drugiej kategorii, gdy spędzaliśmy wakacje u rodziców ojca, nie dostawaliśmy od dziadków słodyczy. Ale przecież ciocia Kasia wysyłała paczki nie tylko nam. Babcia uwielbiała czekoladę tak jak Adam.

Któregoś dnia, bawiłem się razem z Piotrkim na podwórku u dziadków i nagle pojawił się Adam. Z tajemniczą miną, trzymając się za koszulkę, pod którą majaczyły jakieś kontury, powiedział:

- Chodźcie, tylko cicho.

Wymknęliśmy się potajemnie do ogrodu. Gdy znaleźliśmy się w jego najdalszej, porośniętej krzakami części, Adam puścił koszulkę. Posypały się tabliczki czekolady. Pałaszowaliśmy je w krzakach. Po uczcie sprawdzaliśmy sobie usta i zęby, czy nie są brudne od czekolady, żeby nikt nie zauważył i zakopaliśmy opakowania.

Piotrek, jak do tej pory, miał dla nas dwa wcielenia. Na początku był Szczypiorom. Nazywaliśmy go tak, ponieważ był strasznym chudzielcem. Jadł tylko chleb. Na śniadanie chleb, na obiad też najchętniej jadłby wówczas chleb, gdyby nie starania rodziców o to, by uszczknął coś z obiadu, no i chleb na kolacje. Szczypiorowi smakował tylko i wyłącznie suchy chleb. Kiedy poszedł do przedszkola jego upodobania kulinarne były przedmiotem trosk wszystkich przedszkolank. Kiedy je kończył, ta sama pani dyrektor, która mnie lubiła, chwaliła się, że nauczyła Piotra jednego, a mianowicie jeść chleb z masłem.

Drugim jego wcieleniem było stadium Kajtka. Nazwaliśmy go tak po operacji, którą przeszedł jako dziecko. Przez jakiś czas nie wolno mu było chodzić i szlifował spodniami podłogi w domu, jak niemowlak – czyli jak mały Kajtek. Od tamtej pory był na zmianę Kajtkiem i Szczypiorom. Szczypiorom był zwykle w trakcie obiadów, gdy przypadały mu w udziale najsmakowitsze kąski. Rodzice cieszyli się, gdy jadł, a że strasznie wybrzydzał przy

jedzeniu, to dostawał najlepsze kawałki mięsa. Kiedy mama piekła w niedzielę kaczkę, czy kurczaka z własnej hodowli, on zawsze jadł udko – czyli to, co w drobiu najlepsze. Właściwie to do dziś jest w tej kwestii uprzywilejowany. Kiedy się spotykamy i po obiedzie daje ciasto Piotrek dostaje największe kawałki. Na pytanie, dlaczego on dostaje największe, mama z uśmiechem odpowiada:

- Bo jest najmłodszy z was.

Obowiązek szczególnej troski o chudego Kajtka powierzyli rodzice nam – mnie i Adamowi. Najgorsze były pierwsze lata szkoły podstawowej. Na którejś przerwie przybiegł do mnie z płaczem i powiedział, że jakiś chłopak go zbił. Powiedziałem, żeby pokazał mi, który. Po szkole Piotrek pokazał mi z daleka tego chłopaka, a ja nie rozstrzygając o faktach, nie szukając okoliczności łagodzących zlałem jegomościa. Becząc zapytał mnie, za co go zbiłem. Odpowiedziałem, że za to, że zbił mojego brata. On mi na to, że nikogo nie zbił. Zawołałem więc Piotrka i zapytałem czy to on. Ten przyjrzał mu się uważnie i powiedział:

- Nie, to inny.

Jak się okazało ten niewinny chłopak też miał swojego starszego brata, dużo starszego, od którego ja dostałem w pełni zasłużone manto. Zamiast z pokorą przyjąć cięgi, pobiegłem ze skargą do Adama. No i tak się zaczęło. Adam zlał brat niewinnego chłopaka za to, że mnie zbił. Ten zaś wrócił do mnie i stłukł mnie za to, że mój starszy brat mu wlał. Ja znowu szedłem na skargę do Adama i w międzyczasie lałem chłopaka, który miał zbić Piotrka. Biłem go dlatego, że jego starszy brat spuścił mi manto. Rodzinna wendetta długo się ciągnęła.

Wkrótce skończyła się podstawówka. Każdy z nas poszedł do innej szkoły. W pewnym sensie nasze drogi się rozeszły. Mieliśmy już własne problemy, których nie tyle nie mogliśmy, ale nie chcieliśmy wspólnie rozwiązywać.

11.

Dojrzywałem a wraz ze mną sytuacja rewolucyjna w kraju. Nie obchodziła mnie jednak polityka. Zresztą, które dziecko się interesuje takimi nudnymi rzeczami, gdy dokoła jest mikrokosmos żab, polnych myszy, zaskrońców, jaszczurek i pasikoników, czekający na odkrycie. Eksplorowałem ten świat, zwłaszcza że był on pod ręką. Polityka zaś była gdzieś tam w gazetach i w telewizji. Była na tyle daleko, że umknęło mi sławne przemówienie generała Jaruzelskiego.

To była zima, gdy tato oznajmił nam:

- Będzie wojna.

Przestraszyliśmy się, bowiem wojnę znaleźliśmy z „Czterech pancernych” i wiedzieliśmy, że nie ma żartów. Moje ówczesne rozumienie wojny było intuicyjne. Oto Polacy, czyli my będziemy walczyli przeciwko Niemcom. Nie wyobrażałem sobie, że mogłoby być inaczej. Dlatego głównym naszym zmartwieniem była ciocia z Berlina i prosiliśmy rodziców, by przygotowali dla niej pokój w domu na czas wojny, żeby jej się nic nie stało. Bo przecież ona nie jest zła i nie może zginąć w wojnie. Oni wówczas nic nie mówili. Nie starali się nawet wytłumaczyć, że tym razem polskie czołgi, w tym Rudy 102, nie pojedą na Berlin. Któregoś dnia tato powiedział:

- Ubierajcie się.

Ubrani w kurtki, czapki, rękawiczki poszliśmy z nim w kierunku obwodnicy. Okazało się, że ojciec chciał nam pokazać czołgi na żywo, które właśnie jechały zwartą kolumną. Staliśmy jak zauroczeni i machaliśmy do czołgów. Kiedy wracaliśmy do domu pytaliśmy ojca, czy wśród tych wszystkich czołgów, które przejechały obok naszego domu był Rudy 102. Nie wiem, co wówczas odpowiedział, ale ja długo jeszcze po tym zdarzeniu opowiadałem, że widziałem całą załogę z „Czterech pancernych” i nawet im machałem.

Skąd się wziął pomysł machania do czołgów? Otóż obwodnica ta była przez stosunkowo długi czas miejscem naszych stałych wypadów. Jest ona do dzisiaj drogą międzynarodową. Najbardziej atrakcyjnymi z naszego punktu widzenia autami, które się po niej poruszały były TIR-y, zwłaszcza zagraniczne. To z ich kabin wyrzucali kierowcy puste aluminiowe puszkę po piwach, coca-coli czy innych napojach. Właśnie owe puszkę były celem naszych wypraw. Chodziliśmy tyralierą jednym poboczem, by w którymś momencie przebiec na drugą stronę i w drodze powrotnej przeczesać drugie pobocze. Zasada była taka: puszkę należy do tego, kto ją znajdzie. Czasami nie znaleźliśmy nic, ale zdarzały się wypadki, z których wracaliśmy z trzema puszkami. Ustawiało się je na szafie, jedna na drugiej w rzędach. Nikomu do głowy by nie przyszło zgnieść puszkę i sprzedać jako aluminium na złom. Puszkę były dla nas cenne, były także walutą dziecięcą. Służyły wymianie.

Jakoś tak się zdarzyło, że wkrótce każdy z nas był przekonany, że jak się macha TIR-om, to wypada z nich więcej puszek. Machaliśmy zatem z całych sił. Było tak, że ustawialiśmy się na początku naszej stałej trasy jako zbieraczy puszek, machaliśmy pół godziny. Kierowcy odmachiwali nam, niektórzy nawet dawali znak klaksonem, z czego się bardzo cieszyliśmy. I dopiero po machaniu szło się szukać puszek. Nie wiem czy ta metoda pozyskiwania kolejnych okazów do kolekcji była skuteczna, jednak metodologia ta przyczyniła się do ukształtowania się nowego kryterium podziału łupu. Zasada: kto znajdzie, tego puszkę została wyparta przez: kto lepiej macha, komu odtrąbi TIR dla tego więcej puszek. Ta mało klarowna reguła była wiele razy powodem kłótni. Ale wychodziliśmy z tego bez większego uszczerbku na ciele.

Wracając do polityki.

Ze światem podzielonym żelazną kurtyną spotykałem się w każdy poniedziałek, kiedy to kupowałem kolejny numer „Żołnierza Polskiego”. Wówczas moja wizja polityki

międzynarodowej była prosta. Ameryka z Reganem na czele produkuje bomby nuklearne a reszta świata chcąc się przed tym uchronić także produkuje bomby. W każdym razie Ameryka była zła a reszta dobra. Ten prosty obraz świata nie powstał w wyniku dokładnej analizy felietonów, ale z rysunków satyrycznych w nim drukowanych.

Rok 1989 zastał mnie w którejś tam klasie szkoły podstawowej. W kraju burza. A u mnie, jak to u mnie – wszystko działa się całkiem zwyczajnie. Jedynym akcentem przemian, który doświadczyłem osobiście był oddział ZOMO, który zatrzymał się u nas w szkole. Młodzi ludzie, bez zębów na przedzie, odziani w mundury stali sobie na schodach, palili papierosy i klęli niesamowicie. Obok nich stały wielkie tarcze z logo: „MILICJA”, a na ich bluzkach moro widniały naszywki: „ZOMO”. Powiedziałem o tym wydarzeniu rodzicom. W końcu rzadko się widzi gości w mundurach w takiej ilości na małej wsi. Ojciec powiedział mi wówczas żebym się do nich nie zbliżał, nie zaczepiał, bo mogą wyniknąć z tego jakieś problemy. Powiedziałem o tym Tomkowi, i czego łatwo się domysleć, już na drugi dzień staliśmy w bezpiecznej oddali – przynajmniej tak nam się wydawało – i ich przeżywalimy. Nie skandowaliśmy wolnościowych haseł typu: „Polska wolna!” czy „Czerwoni precz!”, ale „Szczerbaty dziadek! Szczerbaty dziadek!” (większość z nich naprawdę nie miała przednich zębów). Uważaliśmy, że nie można bardziej upokorzyć nie tyle ZOMOWCA ale człowieka, jak wytknąć mu jego mankamenty natury cielesnej. Oddział ZOMO zareagował prawidłowo. Rozgorzała między nami walka na wyzwiska. My ich, oni nas. Oni jednak znali więcej przekleństw niż wówczas my. Dlatego postanowiliśmy użyć innych argumentów w tej nierównej walce. Wyjęliśmy tzw. skobelki. Była to taka gumka, z pętelkami na końcach. Pętelki zakładało się na kciuk i palec wskazujący. Na gumkę zaś zakładało wygięty w literę „U” drucik. Naciągało się i strzelało. Po pierwszej serii kilku zomowców ruszyło biegiem w naszą stronę. My zaczęliśmy uciekać dookoła szkoły. Tomek był szybszy. On zwiął. Mnie po chwili dopadł jeden i zaczął szarpać. Nie miałem wówczas pojęcia, że oni tak szybko biegają, że dystans, który uznaliśmy za bezpieczny, pokonają w kilka sekund.

Prawdopodobnie mógłbym dzisiaj starać się o status poszkodowanego przez PRL, może nawet dostałbym legitymację ZBOWID-u, gdyby nie wicedyrektor szkoły. Jako człowiek prawdziwie oddany pasji palenia papierosów, spacerował on w czasie przerw na dworze i był świadkiem całego zdarzenia. Uratował mnie przed pałowaniem i przez niego dzisiaj nie mogę ubiegać się o stałą rentę, ani o miejsce w parlamencie, w którym na pewno bym się znalazł, wykorzystując swój życiorys opozycjonisty.

O ile sama transformacja ustrojowa mnie nie wiele obchodziła i przemknęła obok mnie prawie niespostrzeżenie, tak niektóre jej skutki bardzo mnie zaintrygowały w pewnym momencie i interesują do dziś.

Otóż pewnego razu, gdy siedziałem na lekcji historii w ławce tuż przy oknie, zobaczyłem pana od wuefu, który podpalił wielką, ciągnikową oponę, po której często skakaliśmy na przerwach. Paliła się super! Duży ogień i duży, czarny dym. Po chwili wszyscy siedzieliśmy z przyklejonymi nosami do szyb i podziwialiśmy to niecodzienne widowisko. Nauczyciel, z którym mieliśmy lekcję też się zainteresował wydarzeniem. Zostawił nas w klasie i wyszedł, by sprawdzić co się dzieje. W tym czasie pan od wuefu niósł już ze szkoły drugie naręczce papierów i teczek z aktami i wrzucał to wszystko do ognia. Gdy wracał po kolejną porcję wyszedł mu na spotkanie nasz historyk. Chwilę pogadali i wrócili do budynku szkoły. Nauczyciel wrócił do klasy a my zapytaliśmy co tam się pali? On nam odpowiedział żartobliwie:

- Historia.

O paleniu świadectw piśmiennych PRL-u dowiedziałem się dopiero z pierwszej części „Psów”. Kultowy dialog:

„- Co wy tam Stopczyk kurwa palicie?

-Ja? Ja Radomskie, ale jak pan major chce, to Franz ma Camele”.

O ile przeciwko paleniu świstków, nawet jeżeli były to donosy, nie protestowałem w podstawówce, tak barbarzyński proceder palenia książek w kotłowni liceum ogólnokształcącego spotkał się z moim sprzeciwem. Uczono nas na historii, że w 1933 r. niemieccy faszyci palili książki. Mówiono nam, że ten symboliczny akt sam w sobie był dowodem cenzury, nietolerancji, szowinizmu i forpoczta przyszłego terroru. Dlatego byłem bardzo zaskoczony, gdy w kotłowni zobaczyłem stosy radzieckich albumów malarstwa rewolucyjnego, dzieła Marksa i Engelsa, pisma zebrane Lenina, Hercena przygotowanych do spalania. Nie miałem pojęcia o nauce materializmu historycznego, ani o komunizmie, ani o rewolucji proletariackiej, jednak uważałem i do dziś uważam, że książki powinno się czytać a nie palić. Dlatego dogadałem się z woźnym, który był jednocześnie palaczem w szkole, że ja dam mu pół litra a on mi pozwoli wynosić książki. Zgodził się i tym sposobem stałem się właścicielem kilkunastu albumów sztuki radzieckiej, kilku tomów pism wybranych Marksa/Engelsa, kilku dzieł Lenina i pięciu tomów „Rzeczy minionych i rozmyślań” Aleksandra Hercena.

Do dziś zastanawia mnie ten proceder oczyszczania w ogniu z grzechów. Onegdaj palono czarownice, których dusze oczyszczone z piekielnych grzechów w ogniu, miały powędrować wprost do nieba. Później 1933 r. Następnie demokratyczna wolność, która do pełni szczęścia potrzebowała katharsis, także w ogniu.

Dzisiaj żałuję, że nie wykazałem się większą sprawnością w wynoszeniu książek z kotłowni liceum. W Polsce o Marksie i Engelsie raczej niechętnie się pisze. Natomiast w Niemczech neomarksizm rozwija się bardzo dynamicznie. Kiedy pięć lat temu chciałem kupić dzieła zebrane Marksa/Engelsa nie było mnie na to stać. W antykwariatach niemieckich tzw. MEGA osiąga nie tylko w kompletach astronomiczne sumy, ale także pojedyncze egzemplarze pozostają poza zasięgiem moich możliwości finansowych.

Kto by pomyślał, że na prochach klasyków marksizmu-leninizmu wzrastała polska demokracja. Były to bardzo cenne – jak się dziś okazało – prochy.

12.

Polska demokratyczna, jako Polska wolna kojarzy mi się tylko z jednym, a mianowicie z uwolnieniem ojca od „zakazu pracy”. Któregoś razu, gdy wrócił z kolejnej komisji lekarskiej z radością oznajmił, że będzie mógł pracować. Cieszyliśmy się wszyscy, roztaczając wizje przyszłego dobrobytu. W międzyczasie mama, uwiedziona ideą solidarności założyła u siebie w zakładzie związku zawodowe. Stała się działaczką-idealistką, która uwierzyła we wszystkie hasła wypisywane na transparentach niezadowolonych pracowników.

Mijały kolejne miesiące. Ojciec poszukiwał pracy, mama pracowała, broniąc w międzyczasie pracowników przed pracodawcą. Wszyscy przeoczyliśmy pojawienie się nowego modelu gospodarki wolnorynkowej. Niemal z dnia na dzień upadały wielkie zakłady, które okazały się być nierentowne. Każdego dnia dochodziły do nas pogłoski o tym, że ktoś się niebyswale wzbogacił, albo że ktoś nagle zbankrutował. Każdego dnia zadawaliśmy sobie pytanie: kiedy my w końcu będziemy bogaci?

Pewnego popołudnia, kiedy ojciec wrócił ze swoich poszukiwań źródła zarobku powiedział nam, że wszystkich zwalniamy, że nie uda mu się nic znaleźć. I właśnie wówczas przyjechał do nas znajomy rodziców, który jak się okazało właśnie rozpoczął swoją karierę biznesmena. Wydzierżawił on stragan na pewnym przejściu granicznym i miał zamiar sprzedawać papierosy. Miał tylko jeden mały problem, zresztą bardzo powszechny do dziś wśród polskich biznesmenów, którzy zajmują się handlem z Niemcami, a mianowicie nie znał języka niemieckiego. Ojciec, którego matka była Niemką, jako dziecko rozmawiał w domu po niemiecku. Polskiego dopiero nauczył się w podstawówce. Wiedział o tym ów biznesmen i natychmiast zaproponował ojcu pracę w roli sprzedawcy. Ojciec bez wahania przyjął propozycję i tym sposobem stał się sprzedawcą papierosów. W tamtych czasach nikt nie przejmował się kasami fiskalnymi, paragonami – to wszystko wówczas nie istniało. Dlatego nic nie stawało na przeszkodzie, by ojciec z wykształcenia elektrotechnik nagle stanął za ladą z okrzykiem na ustach: „Zigaretten! Ganz billig!”.

Jako że ambicją mojego ojca było, żeby chociaż jeden z jego synów znał język Goethego, posyłał mnie na kursy językowe organizowane co jakiś czas – przynajmniej raz w roku – w Gminnym Ośrodku Kultury. Dla ojca nie miało wówczas znaczenia, że każdego roku uczyłem się tego samego. Każdy kurs zaczynał się tak samo: „Wie heisst du?”, następnie było aż do znużenia: „ich bin, du bist, er/sie/es ist...”. Każdy kończył się tak samo: pani rozdawała jakieś świstki, na których było napisane, że ten i ten, tego a tego dnia, ukończył kurs nauki języka niemieckiego. Wszyscy oczywiście dostawali piątki. W każdym razie byłem jego synem, który zna niemiecki. Powiedział o tym swojemu koledze-biznesmenowi i ani się obejrzałem, a robiłem wakacyjną karierę jako sprzedawca papierosów na przejściu granicznym.

To było wyjątkowe doświadczenie. Bazar rządził się swoimi prawami. Przyjeżdżało się skoro świt, otwierało budę i rozkładało towar na stolikach. Ojciec mi pomagał a następnie szedł do swojej budy i tam robił to samo. Na straganie sprzedawano dosłownie wszystko. Od lizaków i ubrań dla niemowlaków po ręczne miotacze gazu łzawiącego a nawet broń. W mojej alejce wielką popularnością cieszyła się pani Lidka. Wysoka, puszysta i wiecznie rozdekoltowana. Ona sprzedawała Niemcom tzw. spożywkę, w tym węgorsze. Żeby każdego dnia wyglądały na świeże, smarowała je masłem. Kiedy pytałem po co to robi, ta mrugała do mnie okiem i odpowiadała:

- Żeby się ładnie na słońcu błyszcząły.

Faktycznie błyszcząły się ładnie, ale po drugiej rewitalizacji zaczynały także śmierdzieć. Klienci niemieckojęzyczni podchodzili, oglądali i kiedy poczuli odór polskiego węgorsza, który już drugi dzień wisi na słońcu, czekając na swojego konsumenta, z grymasem

obrzydzenia na twarzach odchodzili. Na nic się zdali wówczas okrzyki pani Lidki, która wołała za odchodzącymi klientami:

- Frisch! Frisch!

Pani Lidka miała jedną malutką wadę – piła. Zaczynała tuż po rozłożeniu straganu, znikając na chwilę w swojej budzie. Znikała tak regularnie przez cały niemal dzień. Pod wieczór była całkowicie pijana i żaliła się, że albo nie udało jej się nic sprzedać i dlatego pije, albo że miała udany dzień i dlatego sobie golnęła ze szczęścia. Tak czy siak, zawsze miała solidną wymówkę. O tej niewinnej słabości pani Lidki wiedzieli wszyscy w promieniu pięciu bud ze straganami i wiedział o tym mój i ojca pracodawca. Odwiedzał on ową przeczacowną damę i znikali razem u niej w budzie na kilka chwil, zamykając za sobą drzwi. Kiedy wychodzili, on wycierał pot, ona się uśmiechała. Coś tam jeszcze pogadali i się rozchodzili. To była prawdziwa konsolidacja polskiego biznesu. Jednocześnie sił przeciwko armii konsumentów, którzy nadciągali zza Nysy Łużyckiej.

I tak mijaly mi kolejne wakacyjne dni. Sprzedawałem papierosy, jadłem hot-dogi z marynowaną czerwoną papryką i majonezem, śmiałem się z pani Lidki, która pijana w sztok chodziła załatwiać potrzeby fizjologiczne za swoją budę. Śmiałem się także wówczas, gdy w rzadkich chwilach trzeźwości głośno się oburzała:

- Kto chodzi szczać za budy?! Przecież tu nie można wytrzymać tak śmierdzi moczem!

Faktycznie, śmierdziało.

Pewnego dnia biznesmen, u którego pracowaliśmy, a który omawiał w tajemnicy z panią Lidką kolejne plany ekspansji ekonomicznej, wpadł na pomysł poszerzenia oferty. Wymyślił sobie, że skoro papierosy rozchodzą się jak przysłowiowe świeże bułeczki, to może do tych bułeczek warto dodać Niemcom już całkiem realne masło. Pomysł sprzedaży masła odgapił od konkurencji – pani Lidki – którą regularnie odwiedzał, a która nie zdawała sobie sprawy, że jest inwigilowana gospodarczo. W planie była jednak mała luka. Nasz pracodawca nie miał trzeciego sprzedawcy, który znałby język niemiecki i trzeciej budy, w której mógłby sprzedawać masło. I tu z pomocą przyszedł ojciec. Zaproponował, że jego najstarszy syn Adam mógłby sprostać wyzwaniu. Gość się zgodził i jeszcze tego samego dnia, kiedy wróciliśmy z bazaru do domu tato błyskawicznie przeszkolił Adama w zakresie rudymentów języka niemieckiego. Mówił mu:

- Głośno powtarzaj: „Butter! Ganz frisch! Ganz billig! Achtzig Pfennig bloß!

Adam powtarzał:

- Buter! Ganc frisz! Ganc biliś! Achcys feniś blos!

Zapisał to sobie jeszcze fonetycznie na kartce i miał wszystko, czego mu potrzeba by być jednym ze sprzedawców na bazarze. Następnego dnia w naszej ofercie, oprócz papierosów było i masło. Ja w jednej budzie, tato w drugiej, Adam dostał krzeselko turystyczne, stolik turystyczny i karton masła. Siedział tak przez pół dnia przy swoim mobilnym straganiku i powtarzał „Buter frisz!”. Oczywiście przemieszczał się od czasu do czasu, by pozostać w cieniu, żeby towar się nie roztopił na słońcu. Ku zaskoczeniu biznesmena Adam sprzedał karton masła jeszcze przed południem. Na drugi dzień miał już dwa kartony. Biznesmen nie wziął pod uwagę tego, że żaden konsument przy zdrowych zmysłach – nie wspominając już wybrednych Niemców – nie kupi roztopiającego się masła. Dlatego dziwił się, że pierwszy karton rozchodził się bez problemów, a drugi z roztopiającymi się, ciapowatymi bryłami tłuszczu już nie cieszył się takim wzięciem. Trochę czasu i roztopionego masła musiało upłynąć zanim nasz pracodawca zrozumiał, że jego nowy pomysł nie wypali bez inwestycji w profesjonalną ladę chłodniczą. Jako, że cały czas papierosy sprzedawały się znakomicie, dlatego ograniczył się do jednego kartonu masła, które Adam sprawnie rozprowadzał w godzinach przedpołudniowych. Kiedy ja z ojcem od rana do wieczora staliśmy w swoich budach kasując niemieckie marki i wydając kolejne sztangi papierosów, Adam umiejętnie zagospodarowywał wolne popołudnia.

Któregoś razu tak je zagospodarował, że przyszedł do mnie całkowicie uchachany z trzema reklamówkami pełnymi bananów. Zapytałem go, skąd je ma. Ten odpowiedział, że kupił, że znalazł na ziemi pięćdziesiąt marek i za wszystko kupił banany. Pochłonięty całkowicie konsumpcją owoców świata Zachodniego nie miałem czasu a nawet nie chciałem się zastanawiać nad autentycznością owego pięćdziesięciomarkowego znaleziska. Jedliśmy je wspólnie w budzie, Adam i ja. W tym czasie jak zwykle pijana pani Lidka przekonywała wszystkich, że jej wędzone węgorze są najlepsze i nawet po bohatersku sama je próbowała, zachęcając do darmowej degustacji.

Tak miały moje pierwsze pracowite wakacje. Pewnego pięknego sierpniowego dnia niemiecki rząd w trosce o zdrowie obywateli postanowił, że od dnia tego a tego, każdy może przekroczyć granicę tylko z jedną sztangą papierosów. Zgodnie ze standardami ustawę ową najpierw promulgowano, w związku z czym wszyscy wiedzieli, że czas sielanki lada chwila się skończy. Te kilka dni przed wejściem uchwały w życie były dla nas najlepszym okresem żniw. Niemcy tłumami kupowali po dziesięć, piętnaście sztang papierosów. Nasz pracodawca nie nadażał z kolejnymi dostawami. I nagle to wszystko ucichło. Dosłownie z dnia na dzień, tak jakby ktoś wyłączył światło. Skończyła się koniunktura, straciłem posadę. Biznesmen miał już tylko jedną budę na straganie, w której sprzedawał ojciec. Ale i to z czasem się urwało.

Rozpoczął się dla mnie kolejny rok szkolny. Przyszedłem ubrany w dres ADIDAS, który uszyto gdzieś tam w Chinach, a na który było mnie stać, bo przecież sprzedawałem całe wakacje papierosy. Wszyscy mi zazdrościli. Ale i ten rok się skończył i znowu przyszły wakacje a ojciec znowu szukał pracy. Dodatkowo mama zaczęła przeżywać rozczarowanie ideami wolności i solidarności. Okazało się, że do związków zapisywali się nieroby, których musiała bronić przed kapitalistycznym prezesem, którego stołek zależał od rocznych wyników finansowych. Dlatego tak szybko jak je założyła, tak szybko je rozwiązała. Jakoś zaraz po tym pan prezes poinformował ją, że została zwolniona. Mama to bardzo przeżyła. Na szczęście ojciec znalazł posadę jako konserwator. I od tego czasu to on zarabia pieniądze, a mama zajmuje się domem.

Byłem już na tyle dorosły by zdawać sobie sprawę z tego, że wolność ma swoje konsekwencje. Że aparat państwowy nakładający na obywateli tzw. obowiązek pracy, karzący żelaznym ramieniem sprawiedliwości wszelkiej maści spekulantów, gnije gdzieś tam na śmietniku historii. Dlatego i te wakacje, podobnie jak następne do końca edukacji spędziłem bardzo pracowicie.

Ku mojej uciechu w pewnych częściach Europy wybuchła koniunktura na gipsowe krasnoludki. Jak grzyby po deszczu pojawiały się w mojej okolicy manufaktury, w których robiono krasnale. Pracy było pod dostatkiem, nawet dla nieletnich – czyli dla mnie. Z miejsca zostałem przyjęty i tak oto na stanowisku czyszczącego, z papierem ściernym w ręce, rozpocząłem swoją przygodę z bajkowym światem z gipsu. Pracowało się na akord – czyli, ile wyczyściłeś figur, za tyle miałeś zapłacone. Pamiętam jak z zazdrością przyglądałem się odlewnikom, którzy byli wyżej w hierarchii płac. Kiedy ja całymi dniami przesiadywałem na stołeczku ścierając drobnym papierem spoiny, ci pracowali tylko po sześć- siedem godzin i zarabiali więcej niż ja. Wyżej od odlewników w gipsowym łańcuchu pokarmowym byli malarze. Na szczycie tej piramidy byli ci, którzy robili formy. Na początku formierze stanowili coś w rodzaju wąskiej, hermetycznej enklawy, do której nikt z zewnątrz nie miał dostępu. Strzegli oni zazdrośnie tajemnicy plastosilu, silikonu i pancerzy z żywic epoksydowych żeby tylko oni znali się na robieniu form. Ich wynagrodzenia były wówczas wręcz legendarne. Pewnego dnia mój pracodawca powiedział, że w nagrodę za to, że dobrze czyszczę awansuje mnie. Zaprowadził do jednego z odlewników i powiedział:

- Naucz go.

Mój mistrz rozpoczął edukowanie mnie od podstaw. Wyjął z kieszeni banknot i polecił, bym skoczył do pobliskiego sklepu i kupił flaszkę. Przyniosłem. On rozlał to między innych odlewników. Kiedy wypili powiedział do mnie:

- Jutro ty stawiasz, a teraz patrz.

I stałem tak kilka godzin i przyglądałem się, jak miesza się gips z wodą i jak wlewa się go do formy. Że najpierw trzeba zrobić zaprawę rzadszą, druga ma być gęstsza. Pokazał mi także jak się rozkręca formę. Pozwolił nawet żebym sam odlał swoją pierwszą sztukę. Mój mistrz zakończył przysposabianie ucznia zdaniem:

- Pamiętaj, że jutro stawiasz.

W ten oto sposób poznałem wszystkie sekrety odlewania gipsowych krasnali.

Po jakimś czasie znudziło mi się odlewanie. Chciałem poznać tajniki malowania. Odwiedzałem coraz częściej malarnię, w której gość z petem w gębie malował pistoletem krasnale. Stał tak godzinami w oparach farb nitro i ciągle palił papierosy. Do dziś się dziwię, że to nie wyleciało w powietrze. No, ale jakoś nie wyleciało. Jednak nic tak bardzo nie kusilo mnie wówczas jak wykradzenie tajemnicy robienia form.

Pewnego dnia w zakładzie pojawił się nowy chłopak. Silny i ambitny. Ale jak to zwykle z nowymi bywa, szef wręczył mu łopatę i kazał uprzątnąć wielką hałdę odpadów gipsowych i worków. Miał to załadować na przyczepę. Chłopak tak machał kilka dobrych godzin, a że dawał z siebie wszystko, chcąc się wykazać, to wkrótce stanął sam na sam z pustym placem i do pełna załadowaną przyczepą. Poszedł się zapytać szefa, co ma dalej robić. Zapewne spodziewał się pochwały. Powiedzieliśmy mu, że szef jest właśnie w formiarni i żeby mu lepiej nie przeszkadzał. Chłopak zignorował nasze ostrzeżenia i zupełnie nieświadomy rangi sekretu robienia gumowych form, beztrąsko wszedł do pomieszczenia. Po chwili usłyszeliśmy tylko głośnie:

- Wynos się! Już cię nie ma!

I w ten oto sposób ambitny chłopak stracił pracę zanim ją tak naprawdę dostał. Oczywiście szef nie omieszkiał odwiedzić najmniejszego zakamarka swojej manufaktury, by z pianą na ustach pomstować:

- Gówniarz! On na pewno był od konkurencji! Gówniarz!

W takich okolicznościach tajemnica produkcji form, w których niebagatelną rolę odgrywały odpowiednie proporcje mieszania różnych odczynników chemicznych, była poza moim zasięgiem. Pewnie bym dalej odlewał krasnoludki u tego samego szefa, gdyby nie kuzyn, który zaproponował mi pracę u siebie. Okazało się, że on też rozpoczyna swój krasnoludkowy interes. Zaoferował mi więcej pieniędzy za odlaną sztukę. Tym argumentem mnie przekonał. Mijały kolejne tygodnie mierzone od soboty do soboty, bo właśnie w tym dniu były wypłaty i tak do końca wakacji. Później zaczął się ogólniak, a ja piątkowe popołudnia i soboty spędzałem w towarzystwie wiadra, wody i kolejnych worków gipsu. Nie miałem powodów do narzekań. Zbierając grosz do grosza ubierałem się, pomagałem rodzicom i tak się jakoś żyło. Aż wreszcie, któregoś razu nastąpiła epoka krasnali z plastyku. Odlewało się je z żywicy. Spędzając godziny w strasznym smrodzie, od którego mogły tylko uchronić maski przeciwgazowe, mieszało się przyspieszacz kobaltowy, żywicę epoksydową i biały, niewinnie wyglądający oxymek i wlewało to do form. W wyniku reakcji nagrzewały się one tak bardzo, że gdy jeszcze miękkie figurki wyjmowało się z form, to najnormalniej w świecie parzyły w dłonie. Kto by się przejmował zdrowiem? Odlewnikom płacono wówczas niemal tyle samo, co malarzom. W tych czasach przeżyłem krótki okres dobrobytu. Ale i to się skończyło. Mój kuzyn bowiem wpadł na rewolucyjny i unikalny na skalę światową pomysł. Okazało się, że pieniądze wypłacane będą nie za odlane sztuki, ale za te, które sprzeda. Każdy z nas dostał numerki, którym podpisywał od środka odlane przez siebie figurki, a kiedy były one sprzedawane, to spisywano numerki i dopiero wówczas człowiek mógł się spodziewać

wynagrodzenia. Kiedy nam to oznajmił, wszyscy się zbuntowaliśmy. Pamiętam jak poszedłem do niego i powiedziałem mu, że ja go nie oszukuję i nie chce żeby on mnie oszukiwał, że w końcu jesteśmy rodziną. On mi odparł:

- W biznesie nie ma rodziny.

Brutalna mądrość kuzyna, zrobiła na mnie i do dziś robi niesamowite wrażenie. Pożegnałem się z nim tego samego dnia. Napisałem list do Norberta, syna cioci z Berlina, że przyjadę na wakacje do pracy. Po tygodniu wyjechałem za granicę kopać rowy, tyrać na budowach, czyścić szamba, strzyc żywopłoty i trawniki oraz uczyć się języka niemieckiego.

13.

Liceum ogólnokształcące. W moich czasach szkoła, która dryfowała na aurze elitarności. W pewnym sensie cieszyłem się, gdy dowiedziałem się o tym, że zdałem egzamin i zostałem przyjęty. Nauczyciele dzieli się na tych, co od zawsze tu uczyli i na nowych. Jedną z nauczycielek starej daty była matematyczka, która nie wytrzymała konfrontacji z nowym rocznikiem i odeszła po małym incydencie. Kobieta ta nawykła do dyscypliny i wymagała jej na każdym kroku, do tego stopnia, że nawet serwetka, w która pakowała bułkę musiała mieć nienaganny kształt równoległoboku foremego. Żyła w matematycznej rzeczywistości, w której nie było miejsca na najmniejszą aberrację. Podobnie jak onegdaj pitagorejczykami wstrząsnęły liczby niewymierne, tak naszą matematyczkę w osłupienie wprawił rytmiczny pisk, który wydobywał się z pocieranego o nogę krzesła buta klasowego dowcipnisia. Rytmiczne „kwiik, kwiik, kwiik, kwiik...” trwało kilka dobrych chwil. Wszyscy ukradkiem spoglądaliśmy na kolegę i uśmiechaliśmy się pod nosem, tak żeby kobieta nie zauważyła. Ona w tym czasie pisała coś na tablicy. Kolejne rzędy cyfr i liczb. W końcu nie wytrzymała. Odwróciła się z wrzaskiem:

- Który to?

Nikt go nie wydał, ale okazało się, że pytanie „który to?” jest tylko retoryczne. Ona dobrze wiedziała czyj but w połączeniu z nogą którego krzesła wydaje ten osobliwy dźwięk, zakłócając doskonale racjonalną harmonię liczb w jej umyśle. Bez żadnych ceregieli podeszła do chłopaka i dosłownie wyrwała go z siedzenia. Szarpiąc nim jak kukielką zawlekła go do tablicy. Wydała jakieś polecenie. Ten się do niej uśmiechał w stylu: „i tak mi nic nie zrobisz!”. Matematyczka, mając głęboko w pogardzie wszystkie nowoczesne metody dydaktyczne, chwyciła chłopaka za włosy i kilka razy uderzyła jego głową o tablicę. Widocznie była przekonana o tym, że tylko bezpośredni, intymny kontakt głowy z matematycznym kosmosem narysowanym na tablicy białą kredą, jest najkrótszą i najbardziej skuteczną drogą do osiągnięcia harmonii liczb.

To była jedna z ostatnich lekcji z tą panią i jedna z ostatnich lekcji w karierze tej pani. W Polsce, w której wolność i indywidualizm z dnia na dzień stały się sztandarowymi cnotami, nie było miejsca dla potęgi liczb podniesionej o kwadrat siły ramienia staruszki. Nikomu z nas do głowy wówczas nie przyszło, że elitarność tego miejsca była przez lata kształtowana przez despotycznych nauczycieli, przez ową matematyczkę i jej podobnych. Przez pedagogów, którzy byli absolutnie pewni, że to ich przedmiot jest najważniejszy, a cała reszta jest dodatkiem do dania, zaledwie skromna przystawką.

Innym dinozaurem, który nas hodował, a którego po części hodowaliśmy my sami, był nauczyciel języka polskiego. Niski, łysawy pan po pięćdziesiątce. Niebywale mądry i tolerancyjny, ale także wymagający. Jego upodobanie do wolności i tolerancji nie wynikało z przesłanek zewnętrznych. Pewnie i on miał gdzieś transformację ustrojową. Był on gejem, chociaż wówczas nie mówiło się gej, ale po prostu pedał. Jego orientacja, przynajmniej tak mi się wydaje, ukształtowała jego łagodną i tolerancyjną naturę. Bycie gejem w małym miasteczku, w którym wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą musiało być jakimś rodzajem krzyża, który ten człowiek dzielnie dźwigał. Nigdy, nawet później, gdy ukończyłem liceum i go spotykałem nie wspomniał słowem o tym, że kocha się w mężczyznach. Ale wówczas wszyscy mieliśmy pewność, że podkocha się w chłopakach. Każdy jego gest, podanie ręki na przywitanie i pożegnanie, długość tego uścisku, jego intensywność – to wszystko było przedmiotem naszych analiz. Konkluzja zawsze była taka sama: „nie ma wątpliwości! To pedał!”. Pan od polskiego wiedział, że my wiedzieliśmy. Nie przejmował się tym. Robił swoje. Pamiętam, gdy któregoś razu na lekcji czytał swoje wspomnienia. Jakies pamiętniki. Wszyscy słuchali jak zahipnotyzowani. Nie jestem pewien, czy to treść była tak fascynująca, czy to może zasługa głosu, który sprawnie modulował. W każdym razie cisza była wówczas

grobowa. I nagle ową ciszę przerywa zgrzyt. Jedna z dziewczyn, widocznie znudzona historią przewróciła kartkę w zeszyte. Pan od polskiego przerwał. Spojrzał na niewiastę. Wszyscy na nią spojrzeliśmy z wyrzutem, że ośmieliła się zakłócić owo misterium. Ogniskowała na sobie w tamtej chwili złość wszystkich. Wtedy stało się coś, czego nikt by się nigdy nie spodziewał. Nauczyciel od polskiego eksplodował. Nakrzyczał dziewczynę. Był cały czerwony na twarzy. Wydarł się i wyszedł z klasy. Dziewczyna przy wtórze: „To przez ciebie!” popłakała się. Od linczu uchronił ją pan od polskiego, który opanował wzburzenie i wrócił do klasy. Przeprosił ją i kontynuował lekcję, ale już więcej nie czytał swoich pamiętników.

Dziewczyna ta była klasycznym outsiderem. Nie z własnej winy. Była niska i gruba. Tak niska, że jak siadała na drewnianym krześle przy ławce, to nogami nie dotykała posadzki. Bujały się one w powietrzu. Chodziła zawsze swoimi ścieżkami. W tych podróżach towarzyszyła jej wierna przyjaciółka. Nie było wśród nikogo, kto nie byłby dla niej choćby przez chwilę barbarzyńcą. Wprost lub skrycie drwiono z niej. Była mała i gruba, była inna – to był wystarczający powód do braku akceptacji.

W klasie, w której mieliśmy język polski, były dziwne okna. Otwierał je i zamykał skomplikowany mechanizm, którego dźwignia była stosunkowo wysoko. Któregoś razu panował taki upał, że pan od polskiego poprosił właśnie ową dziewczynę by otworzyła okno. Siedziała ona najbliżej. Podstawiła sobie krzesło. Wspięła się na nim tak, że stała już tylko na czubkach palców a mimo to nie mogła dosięgnąć dźwigni. Oczywiście wszyscy się śmialiśmy, a ja dodatkowo upokorzyłem ją stwierdzeniem:

- Ten problem chyba ciebie przerasta.

Dziewczyna zmarła tuż po ukończeniu liceum. Okazało się, że chorowała od dłuższego czasu. Miała jakieś problemy z układem pokarmowym. W każdym razie wszyscy barbarzyńcy, jej prześladowcy zaczęli się publicznie, zupełnie poprawnie bić w piersi. Powtarzali jak mantrę: „moja wina! moja wina!”. Ja ją pamiętam jednak cały czas na tym krzeselku, gdy próbowała otworzyć okno. Jak upokorzyłem ją tym problemem, który ją przerósł i jak wówczas odwróciła do mnie głowę i odpowiedziała: „ha, ha, ha, ale zabawne”.

Szkoła średnia, na dodatek w mieście była dla mnie czymś egzotycznym. Dużo nowych rzeczy, właściwie to całkiem nowy świat. Samochody, drogie ciuchy, bransoletki i łańcuszki ze złota, piękne dziewczyny – to wszystko było tak różne od moich żab, jaszczurek czy zaskrońców. Należało dokładnie zbadać ten teren.

Chodziło się do knajpy na piwo. Najpierw po lekcjach, a w ostatniej klasie to już w trakcie długiej przerwy. Zacząłem palić papierosy i pierwszy raz zostałem przyłapany na paleniu.

Pewnego razu tak sobie stałem i paliłem. Wówczas modne były papierosy Caro, w czerwonym opakowaniu. Nagle ktoś z tyłu pociągnął mnie za rękaw. Odwracam się a tu znana ze srogości nauczycielka języka niemieckiego.

- Wyrzuć tego papierosa – powiedziała.

Oczywiście bez zawahania wykonałem polecenie.

- Masz jeszcze inne?

- Nie, pani profesor, nie.

Ona powiedziała wówczas coś, że będzie sprawdzała, że mnie przeszuka. No to wyjąłem paczkę z kieszeni i jej dałem. Na drugi dzień miałem język niemiecki. Przychodzę a pani zaczyna od pochwały. Mówi, że wczoraj złapała mnie na paleniu i kiedy zapytała czy mam inne papierosy odpowiedziałem, że nie. Ale kiedy ona powiedziała, że mi wierzy, że nie będzie sprawdzała, to poruszyło mnie sumienie i oddałem jej całą paczkę.

O dziewczynach jeszcze wówczas poważnie nie myślałem. Oczywiście podkochiwałem się skrycie, ale te moje miłości miały charakter raczej platonicznego uwielbienia na dodatek tak

niestabilnego, że nie warto było sobie tym zaprzętać głowy. Jeżeli miałem wybierać między wypadem z kolegami na miasto, a randką, to wybierałem zawsze to pierwsze. Kobiety wydawały mi się takie nudne. Mówiły cały czas o tych samych problemach. Na to, jako zdobywca nowego świata, nie miałem czasu ani ochoty. Ale któregoś razu zacząłem spotykać się z bardzo fajną dziewczyną. Wyglądała jak aniołek. Drobną twarz, włosy jak sprężynki. I tak się jakoś złożyło, a to była wiosna, że wyładowaliśmy na trawniku w parku. Ja na ziemi, ona na mnie i zaczyna mnie całować. Miała więcej wprawy niż ja. Zwłaszcza, że to był mój pierwszy pocałunek z tak zwanym z języczkiem. Kilka dni z rzędu praktykowałem techniki wpychania swojego języka do jej ust. Uczyłem się jak oddychać nosem, żeby się nie udusić w trakcie. W końcu zabrała mnie do swojego domu i przedstawiła mamie. Była to bardzo miła kobieta. Natychmiast chciała mi zrobić zdjęcie z córką. Zrobiła. Ale dla mnie owo zdjęcie było czymś więcej niż tylko kawałkiem kolorowego obrazka. Szybko w głowie ułożyłem sobie dalszy bieg wydarzeń: poznałem mamę, za chwilę jej ojca i resztę rodziny i ślub. Perspektywa ożenku do dziś działa na mnie mobilizująco. Na drugi dzień powiedziałem dziewczynie prawdę, że jestem jeszcze za młody i za głupi, aby się poważnie bawić. No i się rozstaliśmy.

Kilka lat później zobaczyłem ją z wózkiem i z mężem. Spacerowali sobie całą rodziną. Jest takim samym aniołem jak wówczas, tylko tym razem nie do mnie się uśmiechała.

14.

Berlin z perspektywy szwarcabajtera wygląda trochę inaczej, niż gdy się go zwiedza zorganizowaną wycieczką. O istnieniu Museum-Insel długo nie miałem pojęcia. Każdy dzień był roboczy. Mam nadzieję, że dobry bóg widział, jak w każdą niedzielę siedziałem to w rowie, to na jakimś murze, to w studziencie kanalizacyjnej i tyrałem za fünf Mark die Stunde. Pierwsza praca była u znajomego kuzyna. Jego matka była właścicielką wielkiej, przedwojennej kamienicy. Zadanie było proste: dokopać się do początku fundamentów i tak dookoła domu, a następnie je zaizolować. No i machałem łopata kilka tygodni, a że machałem z takim przekonaniem i zapałem, to wkrótce stałem się obiektem podziwu nie tylko mieszkańców kamienicy, ale też okolicznych mieszkańców. Schodzili się regularnie i podziwiali jak mi szybko idzie. Wówczas byłem dopiero na etapie nauki języka niemieckiego, dlatego często udawałem po prostu, że nie zauważam gapiów. Nie chciałem wdawać się w rozmowę, by nie zostać zdekonspirowany jako szwarcabajter. Tak czy siak szpadel dosłownie palił mi się w dłoniach. Jakiś wewnętrzny głos mi podpowiadał, że jak będę dobrze i szybko pracował, to za chwilę dostane inną, lepiej płatną pracę – innymi słowy: „Arbeit macht reich”. Wkrótce zostałem przeniesiony w inne miejsce. Okazało się, zresztą można było się tego spodziewać, że „żywa koparka”, pracująca bez żadnej przerwy nawet w największym upale, wzbudziła zainteresowanie władz. Dlatego z dnia na dzień znalazłem się na budowie. Wyznaczono mi odcinek – kawał ściany do rozbiórki. Poinformowano mnie, że jak się spiesz, to będę mógł tu długo pracować, bo całą stodołę należy rozebrać. Moim pracodawcą był starszy, bardzo bogaty Niemiec. Pokazując mi szopkę z narzędziami, poklepał mnie po plecach i swoja polszczyzną powiedział do mnie, uśmiechając się:

- No, polaczek! No polaczek!

Jako, że mam w głębokim poważaniu coś, co nazywa się godnością narodową, zignorowałem „polaczka” i wziąłem się do roboty. Niemiec przyjechał wieczorem, by sprawdzić jak mi poszło. Oslupiały przyglądał się, jak kończę burzyć stodołę. Resztki ostatniej ściany waliły się pod młotem. Pokiwał z uznaniem głową, pomlaskał i powiedział do mnie:

- Junge, hast du gut gearbeitet.

Po tym ani razu nie powiedział do mnie „polaczek”.

Burzenie ścian to żadna praca. Ba! Nawet sprawiał mi dziką przyjemność widok walącej się ściany z cegieł. Najgorsze było przede mną. Wszystkie cegły należało oczyścić. Siedziałem więc kolejny dzień i czyściłem je z zaprawy. Mój pracodawca zorientował się, że to praca żmudna i nie pójdzie tak łatwo a zdaje się, że goniły go jakieś terminy, więc został mi przydzielony szwarcabajter do brygady. Był to starszy pan z Polski – Władek miał na imię. Pracowaliśmy tak jeszcze tydzień, przy czym dopiero ostatniego dnia, gdy wszystko było skończone odezwałem się do niego po polsku. Wcześniej mówiłem z nim po niemiecku, nie chcąc się zdradzić, że jestem z Polski. Nie dlatego, że się wstydziłem swojej narodowości, ale dlatego, że stosunki między Polakami na emigracji są fatalne. Za granicą dla Polaka lepiej być obcokrajowcem niż Polakiem. O tym przekonałem się także na własnej skórze.

Kolejną pracę, z rekomendacji owego bogatego Niemca, dostałem w dużym kompleksie sportowo-rekreacyjnym. Cel misji: skucie wszystkich płytek w szatniach. Dostałem oprócz szpadla młotek i przecinak. No i kułem je i żeby nie było mi smutno, po kilku dniach dostałem do pomocy Mołdawianina. Rozmawialiśmy sobie po rosyjsku i było nawet wesoło. Oczywiście do pewnego momentu, bo kiedy skuliśmy pojawiła się brygada polskich glazurników, którzy mieli położyć płytki. I tak zupełnie na „dzień dobry”, kiedy odmówiłem wnoszenia kartonów z płytkami, bo właśnie dźwigałem wiadra z gruzem, jeden z rodaków rzucił we mnie szpadlem. Uniknąłem ciosu, a szpadel z hukiem wbił się w regipsową ścianę. Za chwilę zaczęła się szarpanina, później jatka. Najpierw biłem się sam, za chwilę dołączył Iwan, który odpychał innego Polaka. Po chwili dołączył jeszcze jeden Mołdawianin, który też

pracował tam jako ogrodnik. I tak oto tłuśliśmy się trzech na trzech. Szanse były więc wyrównane.

Finał był taki, że z rozbitą głową spędziłem kilka godzin w krzakach. Ktoś zauważył bijatykę i wezwał policję. Niemieccy funkcjonariusze przybyli błyskawicznie, ale nas już nie zastali. Wszyscy uciekliśmy. Oczywiście nie wróciłem więcej do tej pracy. Powiedziałem o całym zdarzeniu kuzynowi, który troskliwie opatrywał mi ranę na głowie. Tak się złożyło, że odwiedzili go wówczas znajomi, wśród nich Nadia. Piękna dziewczyna. Jej ojciec, były pracownik ministerstwa spraw zagranicznych DDR, konsul w Kairze i Budpeszcie, miał mały domek. Miał w planach rozbudowę ogrodu. Chciał sobie postawić altanę. Nadia jeszcze tego samego dnia zawiozła mnie do niego. Ten, zawodowo nieufny człowiek, przyjął mnie z dystansem. Wręcz oziębłe. Także na próbę, pokazał co mam zrobić. Do dziś pamiętam, że miałem zerwać cały trawnik i ułożyć darń z boku, żeby się nie zniszczyła, by można ją było ponownie położyć, bo skończeniu budowy altany. To była dla mnie betka. Burzyłem ściany, kopałem rowy, biłem się z Polakami, zatem zerwanie murawy to nic.

Na drugi dzień od godziny siódmej rano wziąłem się do roboty. Mój nowy pracodawca pojechał do pracy, jego żona także. Mnie zostawili u siebie w ogrodzie z karteczką, na której było napisane, co mam zrobić – tak na wszelki wypadek, bym nie zapomniał. Praca była rozpisana na cały dzień. Czyli do godziny dwudziestej, bo wówczas kończyłem. Jednak już o godzinie jedenastej nie miałem co robić. Żona mojego pracodawcy pracowała jako nauczycielka. Przyjechała wcześniej by sprawdzić jak mi idzie. Zdziwiła się, że wszystko zrobione i natychmiast zadzwoniła do męża, by zapytać się co teraz.

Na drugi dzień karteczka była zapisana obustronnie. Ale i tym razem wszystko zrobiłem na długo przed dwudziestą, zanim przyjechał mój pracodawca. I tak się jakoś wszystko potoczyło, że wkrótce zaczęliśmy przy kolacji pić wódkę, rozprawiać o wyższości gospodarki komunistycznej nad wolnorynkową. Analizowaliśmy przyczyny upadku starego, dobrego, socjalistycznego świata, zadając sobie pytanie: „gdzie popełniono błąd? w którym momencie?”.

Przed końcem wakacji wybudowałem mu altanę, z której się ucieszył. Zresztą do dzisiaj, gdy go latem odwiedzam, siadamy w niej. Nie pijemy tyle, co wówczas, ale ciągle rozmawiamy o socjalizmie, o socjalistycznej etyce.

Od tamtej pory nie tułałem się więcej po budowach. Każdego lata jeździłem do niego i pracowałem. On wiedział, że studiuje i sam nakłaniał mnie do tego bym nie spędzał dni wyłącznie na pracy. Żeby zaczął zwiedzać Berlin. Dawał mi pieniądze, zupełnie ekstra, na bilety do muzeów, na wejście do bibliotek. I tym sposobem odkryłem Muzeum Pergamonu, do którego często jeździłem by siedzieć na wielkich marmurowych schodach świątyni pergamońskiej. Z czasem dotarłem też do bibliotek berlińskich i antykwaratów. Miałem możliwość podziwiania księgozbioru Juergena Kuczyńskiego. Poznałem też skruszonego SS-Mana, który się rozplakał jak dowiedział się, że jestem Polakiem. Tyle przygód w tak krótkim czasie.

Jednak nie niemieckie marki, nie wspomnienia były największym skarbem, który przeszmuglowałem jako szfarcarbajter przez przejście graniczne w Słubicach, ale znajomość języka niemieckiego. Mógłbym skończyć jeszcze tysiąc różnych kursów i kursików, ale żaden z nich nie dałby mi tyle, co nocne rozmowy z byłym dyplomatą.

Ostatni, dłuższy mój pobyt w Berlinie związany był z pracą nad książką. Przesiadywałem całymi godzinami w różnych archiwach i bibliotekach. Spotykałem się z ludźmi, których nazwiska znałem z wcześniej przeczytanych książek i artykułów. Dyskutowaliśmy o tym, dlaczego filozofowie, istoty przecież szlachetne i niebywale rozumne upaprali się w narodowosocjalistycznym bagnie.

Z tej wyprawy wróciłem bez ani jednego grosza, ale za to z pełnymi walizkami książek, kseroksów i notatek, z głową huczącą od pomysłów, wątpliwości i pytań, na które do dziś nie znalazłem odpowiedzi.

15.

Cztery lata ogólniaka minęły bardzo szybko. W tym czasie ani ja, ani nauczyciele nie próżnowaliśmy. Oni wciskali mi do głowy – z różnym skutkiem – bardzo mądre rzeczy, ja sukcesywnie poznawałem zasady życia i przetrwania w mieście. Edukacja na poziomie średnim obejmuje nie tylko kształcenie ducha, ale i hartowanie ciała. O ten etap rozwoju zatroszczyłem się sam, przy dzielnym wsparciu kolegi.

Któregoś pięknego, zimowego dnia spuściłem ojcu dwa litry wina porzeczkowego, które sam robił. Przecież musiałem w końcu się pierwszy raz w życiu upić. Zapakowałem brzęczące flaszki do plecaka i pojechałem do szkoły. Zamiast na lekcje, poszliśmy z kolegą na dworzec kolejowy. Jakby instynktownie coś nas ciągnęło w tym kierunku. Prawdopodobnie powodowała nami ta sama intuicja, która każe wszystkim menelom podążać w kierunku ciepłego dworca. Ulokowaliśmy się w starym wagonie towarowym, stojącym na bocznicu. Wypiliśmy pierwszą butelkę, po chwili druga była pusta. Na dworze było zimno, więc nie odczuwaliśmy mocy wina własnej roboty. Czuliśmy się dobrze, na tyle dobrze by wrócić do szkoły na zajęcia. Trafiliśmy akurat na lekcje rosyjskiego. Prowadziła je przyjemna pani, która zamiast uczyć języka Puszkina, opowiadała o przepisach kulinarnych z dziewczynami. Siedliśmy w klasie, w ostatniej ławce tuż przy oknie i co gorsza: przy samym kaloryferze. Na początku wszystko wydawało się być normalne, po chwili alkohol zaczął uderzać do głowy z zwielokrotnioną mocą. Pani zauważyła, że coś z nami nie tak. Kiedy zaczęliśmy się głupio śmiać, i prawie zasypialiśmy na ławkach, pani powiedziała:

- Chłopcy, wyjdźcie. Widzę, że się źle czujecie.

- Tak, tak pani profesor – odpowiedzieliśmy i już nas nie było. Do końca dnia łaziliśmy po mieście bez celu i sensu, starając się jak najszybciej wytrzeźwieć. Wiedziałem, że muszę wrócić trzeźwiuteńki do domu, bo ojciec nie byłby tak wyrozumiały jak pani od rosyjskiego. Kupiliśmy dużo miętowych gum i landrynek miętowych. Kupiliśmy także dwa bochenki suchego chleba. Byliśmy przekonani, że jak się napchamy chlebem, to nam przejdzie. W końcu jak się pije i w międzyczasie je, to się nie jest tak szybko pijanym. Tę prawidłowość zaobserwowaliśmy niezależnie. Oczywiście owo „w międzyczasie”, zauroczeni pierwszym w życiu upijaniem się przeoczyliśmy i jedzenie chleba po fakcie na nic się zdało. I tak oto lekkim krokiem, żeby nie powiedzieć: zataczając się, błąkaliśmy się po mieście a dookoła nas ścieleł się intensywny odór mięty pomieszany z odorem sfermentowanych porzeczek. Ale najważniejsze w tym wszystkim było to, że pierwszą lekcję pijaństwa miałem za sobą.

Zanim zdałem maturę, dużo się na słuchałem o tym, jaki to banalny egzamin. Że w zasadzie matura jest tylko formalnością, że to nic takiego szczególnego. Być może i tak jest, ale nie dla tego, kto pisze już w nagłówku maturalnego wypracowania: „Pisemny egzamin dojrzałości z języka polskiego”. A ja tak właśnie napisałem: dojrzałość przez „ż”.

Po kilku godzinach pisania, oddałem pracę i pojechałem do domu. Już na drugi dzień wszyscy maturzyści mi gratulowali, że wywinąłem niezły numer. Byli przekonani, że tak specjalnie napisałem. Nawet nauczyciele polonisci się dowcipkowali. Mi jednak nie było do śmiechu. Owo „dojrzałości” napisałem tak, jak uważałem, że powinno być napisane. Całe szczęście, że był to jedyny błąd ortograficzny i pracę oceniono pozytywnie.

Drugim egzaminem pisemnym była historia. Tu nie było zaskoczenia co do oceny – mierny. Zresztą podobną ocenę otrzymało jakieś 40% roku, co też nie było zaskoczeniem. Czy w ogóle może zaskoczyć czymś człowiek, który informuje: „Jeżeli zobaczę kogoś z was u mnie na ślubie, to będzie miał przejebane i nie zda matury”. Pan ów zakochał się w pewnej dziewczynie z liceum. Tak się składało, że – używając ówczesnego żargonu – „chodziła ona” z chłopakiem z naszej klasy. Łatwo więc sobie wyobrazić jego frustrację.

Koniec końców zdałem maturę i stanąłem przed dylematem: „co dalej?”. Nie zaliczałem się do tych, którzy w wieku dziesięciu lat wiedzieli dokładnie, co będą robić w życiu. Dla mnie każdy kolejny rok był czymś w rodzaju tabula rasa. Miałem głowę nafaszerowaną pomysłami. Chciałem być jednocześnie policjantem, archeologiem i lekarzem medycyny. Zacząłem rozważać kolejne możliwości. I tak: policjantem, jak się okazało nie mogłem być. Nie to, żebym nie spełniał warunków: wzrost: 190 cm, waga – wówczas 95 kg, w głowie też mniej więcej poukładane. Przeszkoda wówczas miała charakter systemowy. Przyjmowano do policji najpierw dzieci funkcjonariuszy, a później resztę. Gdy się dowiedziałem ilu chętnych przypada na jedno miejsce, zrezygnowałem. Od archeologii i w ogóle od historii odstraszył mnie skutecznie licealny historyk, który w zalotach kompletnie postradał rozum. Pozostała mi medycyna. Gdy przypomniałem sobie wydarzenie ze świniobiciem, gdy na widok krwi zemdlałem, to szybko porzuciłem plan zostania chirurgiem. Gdybym stracił przytomność operując pacjenta, to dopiero byłby powód do wstydu. Ani się spostrzegłem, a drogą eliminacji wykluczyłem wszystkie możliwości. Zostałem sam na sam z pustką w głowie i pytaniem: „co dalej?”. Coś trzeba było jednak robić, żeby nie pójść do wojska.

Marzyły mi się studia w jakimś dużym mieście, na jakimś prestiżowym uniwersytecie. Rodzice szybko jednak pozbawili mnie złudzeń. Powiedzieli:

- Synu my ci nie pomożemy. Nie stać nas. Szukaj sobie czegoś na miejscu.

No to zacząłem szukać pod nosem. Tym sposobem wpadł mi w ręce informator o studiach na pobliskiej WSP. Przeglądałem ofertę i szukałem kierunku, na który będzie można się najłatwiej dostać. Kryterium wyboru było proste: najprostszy egzamin. Tym sposobem odnalazłem egzotyczną pozycję: „Filozofia. Studia dzienne magisterskie”. Był to nowy kierunek na tej uczelni. Egzamin miał dwa etapy: test z języka obcego i rozmowa kwalifikacyjna. Dodatkowym argumentem, który przemawiał za tym wyborem, było moje zamiłowanie do czytania książek. Pomyślałem sobie:

„Lubię czytać, a tu się chyba dużo czyta. Egzaminy tutaj pewnie będą polegały na dyskusji o książkach. Nic prostszego!”

Złożyłem dokumenty, zdałem, zostałem przyjęty. Zaczęło nas razem jakieś pięćdziesiąt osób. Po pierwszym egzaminie została połowa. Dlaczego? Otóż już na pierwszym wykładzie rozwiały się moje złudzenia, co do istoty filozofii. Pewien pan profesor, który przyjeżdżał co dwa tygodnie z Krakowa, by edukować w zakresie filozofii studentów w małym miasteczku przygranicznym, rozpoczął wykład następująco:

- Dzień dobry. Nazywam się.... [tak a siak]. Zaczniemy od tez Gorgiasza...

I tylko tyle zrozumiałem z pierwszego wykładu. Najbardziej frustrujące w tym wszystkim było to, że gość mówił po polsku. Mimo to nie rozumiałem z tego ani słowa. Całkowicie nowe dla mnie pojęcia, którymi przyprawił swój wykład: epistemologia, gnoseologia, prawda, mniemanie, doksy, paradoksy, ontologie, pogłębiały moją studencką depresję. Do tej pory nie mam bladego pojęcia jaka jest różnica między „transcendentalny” a „transcendentny”. Kiedy ostatnio, gdy w trakcie pijaństwa zapytałem o istotę owego rozróżnienia znajomych filozofów, nie potrafiliśmy znaleźć jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie.

Tak czy siak ów wykładowy maraton filozoficzny był dla mnie zwykłym bełkotem i takim pozostał do dziś. Tylko, że dzisiaj łatwo daję sobie z nim radę, wówczas nie miałem narzędzi by obnażać napuszony żargon mądrych słówek. Tak było niemal na każdym zajęciach. Ze wszystkich stron atakowano mnie a to teoriami prawdy, a to teoriami bytu. Ani chwili wytchnienia. Dodatkowo kazano czytać teksty, z rodzaju usypiaczy. Człowiek czyta pierwsze zdanie, które zaczyna się na jednej stronie i kończy dopiero trzy strony dalej i zasypia. Gdzie tu podmiot? Gdzie orzeczenie? Prawdziwa matnia. Dopiero niedawno odkryłem, że czytanie takich tekstów sprawia mi dziwną przyjemność z gatunku tych, o których pisał Lepold Sacher-Masoch. Czytanie normalnych książek nie daje już satysfakcji. Nie wiem, być może

uksztalowała się w moim umyśle jakaś odmiana odruchu bezwarunkowego: widzę tekst, to mój umysł apriori traktuje tekst jako filozoficzny. Nie potrafię wyjaśnić przyczyn tego zjawiska.

W każdym bądź razie studia nie należały do łatwych. Kiedy koledzy z innych kierunków opowiadali o tym, jak to mają łatwo, że najgorszy był pierwszy rok, a teraz już luz, trochę im zazdrościłem. U mnie co semestr pojawiała się nowa egzotyczna dziedzina wiedzy. Nigdy nie darzyłem szczególną sympatią nauk ścisłych. Matematykę omijałem z daleka. Ale kiedy na studiach zaczął się kurs logiki, ucieszyłem się. Był to jedyny wykład, jedyne ćwiczenia, na których wszystko wydawało się proste. W porównaniu z kantowsko-heglowskim bełkotem, zdanie „ $[(p \rightarrow q) \wedge \sim q] \rightarrow \sim p$ ” było banalnie proste. Nareszcie pojawiło się światełko w tunelu, który wydawał się nie mieć wyjścia. O ile wszędzie pozostawiano nas z pytaniami bez odpowiedzi, tak profesor od logiki (zresztą światowej sławy specjalista od logiki pytań) mówił o prawdzie, wynikaniu, konsekwencjach. Wszystko to miało sens.

Jednym z najciekawszych wykładów, na jaki chodziłem, był wykład z historii filozofii. Prowadził go leciwy profesor, mediewista, jeden z uczniów Jana Legowicza. Osobowość niezwykle barwna i fascynująca w pewnym sensie. Jego sposób narracji zainteresowałby nawet wielbłądy. W każdym razie zawsze na wykładach miał komplet. Tylko raz wywinęliśmy mu numer.

To była zima. On jak zwykle pojawił się na wykładzie i zdaje się, że był podziębiony. Aula była wyposażona w system klimatyzacji. Podkreściliśmy temperaturę maksymalnie. I po jakimś czasie jego organizm nie wytrzymał. Powiedział, że jest mu duszno i że dzisiaj skończymy szybciej zajęcia. Okazało się, że trafił później do szpitala. Miał jakieś problemy z sercem. Już nigdy więcej nie zrobiliśmy numeru z klimatyzacją. Za to on nam zrobił numer na egzaminie.

Zanim wbiliśmy się w garnitury i ustawiliśmy ładnie w kolejce przed drzwiami w oczekiwaniu na egzamin, nasłuchaliśmy się legend o jego bezwzględności, jako egzaminatora. Wszedłem w pierwszej trójce i to mnie, jako pierwszego zaczął pytać. Egzaminu tego nie zapomnę nigdy. Pierwsze pytanie o Platona:

- Niech mi pan łaskawie opowie o teorii miłości Platona.

No to ja mu mówię, że to, że tamto i na koniec o ideach. A profesor do mnie:

- Bzdury pan gadasz! Miłość platońska, to miłość chłopca, któremu zarost się na twarzy nie pojawił i dojrzałego mężczyzny. Panie, to miłość pedalska!

I już wiedziałem, że nie będzie łatwo. Profesor zadaje mi kolejne pytanie o szkoły sokratyczne. No i ja mu odpowiadam. Ten mi znowu:

- Panie, ale bambuły mi pan tu wciskasz!

„No to po mnie!” – myślę. A ten mi kolejne pytanie:

- W którym roku i za co potępiono Tomasza z Akwinu?

Tak się złożyło, że wcześniej czytałem jego rozdział w Historii filozofii średniowiecznej pod redakcją Legowicza. Zatem zapytałem go przebiegle:

- A o które potępienie pan pyta. Były dwa.

- Ale pan sprytny! Dobrze, dobrze... To niech mi pan powie czego dotyczyło owo potępienie?

Mówię mu to i siamto. A ten przerywa mi i pyta:

- A ile też zawierało potępienie?

Bez wahania odpowiedziałem:

- 514

- Bzdura, bo ... – i tu wymienił jakąś liczbę i dodał:

- Panie, masz pan mózg jak ser szwajcarski. Taaaakie dziury! – i zatoczył palcem w powietrzu okrąg. Spocony z nerwów, wiedziałem że czeka mnie poprawka. Ten jednak zamiast wpisać mi pałę do indeksu powiedział:

- Łaskawy panie, chciałbym od pana usłyszeć jedno, poprawnie zbudowane zdanie na temat teorii supozycji Ockhama. Co pan na ten temat powie?

Zastanowiłem się chwilę. Nic nie przychodziło mi do głowy – zupełna pustka. Wiedziałem tylko, że suppositio z łaciny znaczy „zastępować”. Nie miałem już nic do stracenia. Spokojnie powiedziałem wszystko, co na ten temat wiedziałem:

- Teoria supozycji polegała na zastępowaniu...

- Dobrze, dziękuję. Widzę, że pan wie – przerwał mi profesor i zwrócił się do kolegi, który siedział obok:

- Pan dokończy.

„Pan” nie dokończył, bo w tym samym czasie do gabinetu weszła sekretarka, by poinformować profesora o jakimś ważnym telefonie. Ten wyszedł, zostawiając nas samych. Po dziesięciu minutach wrócił i powiedział:

- Panowie, słabiutko, słabiutko. Trzeba w końcu wrzucić ten drugi bieg. Gdzie wasze indeksy?

Daliśmy indeksy, on wpisał wszystkim oceny dostateczne i zaprosił kolejne trzy osoby.

Wyszedłem z gabinetu całkiem mokry. Koszulę mogłem wykręcać. Ale jednocześnie ucieszony tym, że zdałem. Następni nie mieli tyle szczęścia.

Tak się jakoś później poukładało, że jako jedyny z roku napisałem pod opieką tego profesora pracę magisterską. Skończyłem studia i za namową promotora rozpocząłem swoją przygodę z tym, co określa się nauką polską.

To jest zupełnie inna historia i jeszcze musi chwilę poczekać na to, by ją opowiedzieć.

-

